

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne · cena 5 zł · nr 1-3 (225-227) · styczeń-marzec 2011



50-lecie TMZK

*Twórca Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej prof. Bolesław Iglowicz (z prawej) ze współzałożycielem TMZK dr. med. Henrykiem Florkowskim. W środku znany pedagog i żołnierz Armii Krajowej Ignacy Minta. Zdjęcie wykonano w 1978 roku.
Fot. Bogdan Ludowicz*



Fot. B. Ludowicz

Pożegnanie ojca Jana

20 lutego 2011 r. zmarł w szpitalu w Lesznie, w wieku 55 lat, mnich klasztoru benedyktynów w Lubiniu ojciec Jan Bereza. Uważał, że najprostsza droga do Boga prowadzi przez Człowieka. Szanowany m.in. w środowisku dziennikarskim, otwarty na wszystkie poglądy, dowodził, że można i trzeba rozmawiać z każdym – bez względu na jego wyznanie i poglądy; chciał, żeby ludzie byli dobrzy, szlachetni i wyrozumiali. Odprawiał na miejsce ostatniego spoczynku nasze koleżanki i kolegów.

Jego przyjaciół red. Bogdan Ludowicz wspomina:

- Jasiak miał trzy pasje. Najpierw Boga, bo uważał, że to Wartość ponad wszystko; tuż za tym dialog między poglądami i religiami, bo twierdził, że każdy z nas rodzi się dobry, a w kierunku zła skłaniają nas okoliczności; nie znosił politycznego chamstwa pod każdą postacią, wreszcie - co mnie z nim łączyło - to była fotografia. Robił przepiękne zdjęcia, był fachowcem, wszak ukończył w Warszawie słynne liceum fototechniczne. Nie dzielił ludzi, tylko ich łączył.

Napisał wiele artykułów i książek o sztuce medytacji i sztuce dnia codziennego. W 1992 r. otrzymał nagrodę „Wiadomości Kościańskich” za całokształt twórczości na rzecz ekumenicznego rozumienia współczesności. Wielu z nas miało szczęście spotkać ojca Jana na drodze życia.

Zjeździł cały świat. Był członkiem World Community for Christian Meditation i grupy Dialogue Monastic oraz doradcą Episkopatu Polski do spraw dialogu. O przyszłości świata rozmawiał m.in. z Dalaj Lamą. Napisał i obronił dwie prace magisterskie: z filozofii pt. „Stan badań nad filozofią metafizyki w Polsce” i z teologii pt. „Czy można widzieć Boga i pozostać przy życiu [Problem poznawania Boga przed objawieniem na Synaju]”. W ostatnim, niedokończonym manuskrypcie pozostają barwne opisy z licznych podróży. Pożegnaliśmy Jaśka na lubińskim cmentarzu w czwartek 24 lutego br. Bardzo Go nam brakuje.

Redakcja

„Wiadomości Kościańskich”

W numerze:

**Medytacje
ojca Jana Berezy
(4)**

**Fragmety dziennika
dr. med.
Henryka Florkowskiego
ujawnia Jerzy Zielonka
(7)**

**O Studium Regionalnym
w Kościanie
z prof. dr hab.
Zbigniewem Wielgoszem
rozmawia Teresa Masłowska
(10)**

**O grobach wybitnych
Polaków na
paryskich cmentarzach
w korespondencji z Francji
pisze Zdzisław Wojtczak
(14)**

**Niezwykłą wdowę
Barbarę Kaninę
przedstawia
Teresa Masłowska
(19)**

**Z autorką monografii
Racotu
Teresą Wiśniewską
rozmawia Katarzyna Żurek
(21)**

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyśiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.



Czwartek 24 lutego 2011r. w Lubiniu. Nabożeństwo żałobne nad trumną ojca Jana.

Fot. Bogdan Ludowicz

Sztuka codziennego życia

„Do widzenia!” – powiedz swemu ciału!

Wbrew pozorom, życie i śmierć nie są przeciwieństwami, to tylko dwie strony tego samego medalu. Gdy próbujemy zaprzeczyć jednej z nich, wtedy skazujemy samych siebie na egzystencję pozbawioną realności, pełną niepewności i desperacji. Jakże często okazuje się prawdą to, co pisał Fred Wistow – „W zakamarku, bardzo ciemnym zakamarku umysłu każdego z nas jest pewne pudełko, a w nim głos. Ten głos mówi: Umrę. Pewnego dnia umrę. My zaś staramy się unikać tego zakątka.” Czasami jednak słyszymy ten głos i pytamy siebie: „Jak żyć, aby nie umrzeć, jak umrzeć, aby żyć?”

John Main, dwa miesiące przed swoją śmiercią, mówił do dwóch tysięcy ludzi zebranych na Międzynarodowym Seminarium Opieki nad Umierającymi – „Wszyscy musimy umrzeć i musimy nauczyć się dobrze umierać”. W każdym momencie swego życia był on zawsze przygotowany, aby pożegnać się z tym światem i może dlatego bycie z nim w ostatnich dniach jego życia, pozwalało pozbyć się lęku przed śmiercią. John Main był angielskim be-

nedyktnym, w życiu i w śmierci okazał się wierny starej tradycji mniszej. Znane są opisy umierania chrześcijańskich mnichów na pustyni Sketis w Egipcie. Jeden z nich, zawarty w Księdze Starców, wspomina o ojcu Agatonie. Umierał on radośnie, a inni widzieli go tak odchodzącego, jak kogoś kto wita się z przyjaciółmi. Gdy bracia chcieli go zapytać o coś, powiedział: „Zróbcie mi łaskę i więcej ze mną nie mówcie, bo nie mam czasu.”

Jest wiele sposobów medytacji, które przybliżają nam problem śmierci, uczą nas żyć bez lęku. Na pierwszy rzut oka mogą one wywoływać odrazę, ale jeśli przejdziemy przez nie, pomogą nam żyć w pokoju i radości. Wyobraź sobie, na przykład, siebie jako nieboszczyka, który przechodzi przez poszczególne etapy rozkładu. O każdym z nich pomyśl przez chwilę. Jeśli w swej wyobraźni dojdiesz do etapu, w którym kości zamieniają się w proch, wtedy zakończ medytację. Poświęć jednak jeszcze chwilę czasu, aby uświadomić sobie uczucia jakich doznawałeś.

Jeśli tego typu medytacja jest dla Ciebie zbyt trudna, wtedy spróbuj innej. Wyobraź sobie, że zostaje ci tylko godzi-

na życia, że pożegnałeś się już z przyjaciółmi a teraz żegnasz się z każdą komórką swego ciała i każdą jego częścią, ze swoimi rękami, nogami, sercem, głową i innymi. Wyraź wdzięczność im za to, że tyle lat ci służyły, okaż szacunek całemu ciału przyglądając się mu, czy wyobrażając go sobie. Uwzględnij jego wygląd, barwę, kształt, cechy charakterystyczne. Jeśli jesteś chrześcijaninem, wyobraź sobie także Jezusa stojącego przy tobie i spoglądającego, podobnie jak ty, z miłością na ciało, z którym się żegnasz. Ćwiczenie to jest bardzo ważne, gdyż ułatwia zrozumienie wartości swojego ciała a także akceptację samego siebie. Jeśli i to ćwiczenie ci nie odpowiada, poszukaj innego. Wiedz, że celem podobnych ćwiczeń nie jest napawanie cię lękiem przed śmiercią, wprost przeciwnie, celem ich jest nauczenie się prawdziwej radości życia.

JAN M. BEREZA OSB

*) Medytację wydrukowano w nr 11 „Wiadomości Kościańskich” z listopada 1992 r.

Nasz współpracownik odznaczony

Współpracownik „Wiadomości Kościańskich” Zenon Józwiak został odznaczony Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Wręczenie odbyło się na spotkaniu opłatkowym wielkopolskich akowców w Poznaniu.

11 stycznia 2011 r. w sali herbowej Urzędu Województwa Wielkopolskiego żołnierze Okręgu „Wielkopolska” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej spotkali się, by tradycyjnie złożyć sobie życzenia i podzielić opłatkiem. Marszałek Marek Woźniak wyraził podziękowania i słowa uznania dla kombatantów za kultywowanie polskości w najtrudniejszych czasach zniewolenia i walkę o prawdę i godność.

W trakcie spotkania współpracownikowi „Wiadomości Kościańskich” Zenonowi Józwiakowi z Leszna Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, przyznany przez przewodniczącą Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, wręczył dyrektor gabinetu wojewody wielkopolskiego dr Andrzej Plesiński.

Laudację wygłosiła starszy inspektor w Wydziale Polityki Społecznej UW w Poznaniu Sławomira Palacz, która powiedziała m.in.:

- Pan Zenon Józwiak jako sekretarz Instytutu im. gen. Stefana „Grotą” Roweckiego zainicjował upamiętnienie tablicą inspektora rejonowego AK ppor. Jerzego Handke w Lesznie. Był w składzie grupy historyków, która wspierała inicjatywę upamiętnienia ściętych na gilotynie w 1942 r. żołnierzy podziemnej organizacji TOW „Czarny Legion” w Gostyniu, opiekuje się grobami Powstańców Wielkopolskich, żołnierzy wojskowej konspiracji (1939-1945) na cmentarzach w Lesznie i Wielichowie. Jest godnym podkreślenia, że czyni to bezinteresownie, angażując własny czas i środki finansowe.

W uroczystości uczestniczyli m.in.: ppłk Jan Górski, prezes Okręgu „Wielkopolska” ŚZŻAK, doktor Wanda Błęńska, przewodniczący sejmiku województwa wielko-



Andrzej Plesiński (z lewej) przypina medal Zenonowi Józwiakowi.

Fot. Teresa Masłowska

polskiego Lech Dymarski, kapelan AK - ks. kanonik Leonard Poloch. Oprawę muzyczną zapewnił zespół

szkolny z VIII LO z Poznania. Redakcja składa panu Zenonowi gratulacje. (tm)

Sprostowanie

W numerze 12 „Wiadomości Kościańskich” z 2010 r. w wyniku złośliwej ingerencji chochlika nastąpiła pomyłka w numeracji ciągłej czasopisma. Przepraszamy. Prawidłowy numer „WK” powinien być następujący: nr 12 (264) gruzdzień 2010.

Redakcja



Red. J. Zielonka (z prawej) w czasie laudacji.

Fot. Bogdan Ludowicz

„Koziołki” dla redaktora Zielonki

Współtwórca i współpracownik „Wiadomości Kościańskich” red. Jerzy Zielonka odebrał „Dziennikarskie Koziołki” w kategorii osobowość dziennikarska. Wręczenie nagrody, przyznawanej dziennikarzom przez dziennikarzy, odbyło się w trakcie uroczystej gali 23 lutego 2011 r. w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Statuetki wręczał prezes wielkopolskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Ryszard Sławiński. Laudację wygłosił Jerzy

Mianowski, prezes Stowarzyszenia Prasy Lokalnej w Poznaniu.

- Kiedy usłyszałem, że mam wygłosić laudację ugięły się przede mną kolana, bo Jurek jest wielką postacią a jednocześnie bardzo skromną i niezwykle trudno powiedzieć coś bardziej inteligentnego, niż to, co on sam napisał. A napisał wiele - tysiące artykułów, liczne książki o Ziemi Kościańskiej i Leszczyńskiej, bardzo ważne dla tego regionu. Jest znakomitą znawcą historii II wojny światowej i okresu PRL. Setki osób za-

wdzięcza mu odnalezienie grobów swoich bliskich, którzy zmarli lub polegli na frontach wojennych, w obozach koncentracyjnych i gułagach. Jest też archiwistą - zgromadził olbrzymie zbiory dokumentów, fotografii i książek...

Laureat mówił krótko, koncentrując się na wspomnieniu tych, od których uczył się dziennikarskiego rzemiosła.

- Wywodzę się z dziennikarskiej szkoły galicyjsko-wielkopolskiej, w której funkcjonował układ mistrz - uczeń. Moimi mentorami byli: red. Janusz Roszko publicysta z Krakowa, specjalizujący się w tematyce historycznej, który dostrzegł mnie już na studiach, potem Maciej Szumowski, obaj nieżyjący. Następnie red. Feliks Biłos, który wyciągnął mnie z Kościana do „Głosu Wielkopolskiego”, stamtąd do „Gazety Poznańskiej”, skąd w 1979 roku trafiłem do „Panoramy Leszczyńskiej”. Redaktorowi Bogdanowi Dohnke z Poznania zawdzięczam, że nakłonił mnie do doskonalenia języków obcych. Wdzięczny jestem też redaktorom Włodkowi Oficerskiemu i Zbyszkowi „Żuk” Szymańskiemu za to, że „ćwiczyli” mnie w nieistniejącej niestety od dawna knajpce „Teatralna” w Poznaniu. W moim wyróżnieniu tkwi sporo pracy wymienionych osób, a także wielu innych, których wymienić nie sposób...

Nagrody główne „Koziołków” odebrali Piotr Frydryszek, emerytowany dziennikarz radiowy, wieloletni kierownik Radia „Merkury” w Poznaniu i prezes Stowarzyszenia Rozgłośni Regionalnych oraz Sławomir Papiera, twórca i właściciel Telewizji Konin. Kazimierza Rajzauera - operatora i kamerzystę TVP wyróżniono „Koziołkami” dla seniora zawodu. Po raz drugi przyznano nagrodę Zdzisława Beryta, odebrał ją krytyk filmowy Wiesław Kot.

Imprezę prowadziła Małgorzata Derwich z Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego. „Dziennikarskie Koziołki” przyznawane są od 1996 r. przez kapitułę wielkopolskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. Gratulujemy.

(TM)

[Refleksje w 50 rocznicę powstania TMZK]

U źródeł kościńskiego regionalizmu (I)

Był piątek – 17 lutego 1961 roku. W jednej z klas Liceum Ogólnokształcącego w Kościanie zebrało się 15 osób po to, aby założyć Koło Miłośników Ziemi Kościńskiej, później przemianowane na Towarzystwo. Miejsce i data spotkania nie były przypadkowe. Tego właśnie dnia stare dokumenty prezentował w czasie specjalnej prelekcji ówczesny kierownik Archiwum Państwowego w Lesznie mgr Waclaw Nawrocki. Historiografia kościńskiego ruchu regionalnego wiąże to wydarzenie słusznie z popaździernikową odwilżą, ale nie docenia faktu, że próby zorganizowania się miłośników małej Ojczyzny rozpoczęto już po 1945 roku i że u podstaw dzisiejszego TMZK legły głęboko przemyślane popularyzatorskie pasje jego rzeczywistego twórcy - nauczyciela gimnazjalnego prof. Bolesława Igłowicza, wsparte w miarę wpływu czasu dążeniem dr. med. Henryka Florkowskiego do uczynienia ze stowarzyszenia ośrodka naukowo – badawczego i wydawniczego.

Pierwsza piętnastka

Członków założycieli Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościńskiej wymienia się zazwyczaj w kolejności alfabetycznej. Spróbujmy jednak uszeregować ich według wieku. Najstarszym wśród owej piętnastki był kompozytor, organista i dyrygent Stanisław Wojciechowski, który w 1961 r. liczył 67 lat. Dalej zawodowy oficer WP ppłk Waclaw Krzyżostaniak (63 lata), księgowy z zawodu i pracownik Powiatowego Domu Kultury w Kościanie Marian Tucholski (60 lat), kierownik archiwum w Lesznie, żołnierz Armii Krajowej Waclaw Nawrocki (59 lat), nauczyciel gimnazjalny i działacz ruchu ludowego Bolesław Igłowicz (58 lat), działacz spółdzielczości samopomocowej i żołnierz Armii Krajowej Józef Albiński (56 lat), nauczyciel gimnazjalny i żołnierz Armii Krajowej Klemens Kruszewski (53 lata), księgowy i działacz społeczny Stanisław Szymanowski (53 lata), plastyk i żołnierz Szarych Szeregów Stefan Bech (52 lata), przedwojenny redaktor narodowej kościńskiej „Gazety Polskiej” Marian Urbański (52 lata), działacz harcerski Franciszek Kordusiak (50 lat), lekarz i dyrektor Szpitala Powiatowego w Kościanie Henryk Florkowski (40 lat), ekonomista i żołnierz konspiracyj-

nej organizacji „Pakt Czterech” Marian Koszewski (38 lat), nauczyciel ze Słonina Zenon Świerczewski (29 lat) i student Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Poznaniu Kazimierz Zimniewicz (22 lata).

W tej grupie, jeśli wyłączyć zawodowego archiwistę z Leszna, doświadczonymi regionalistami z własnym dorobkiem byli wtedy: Stanisław Wojciechowski, Bolesław Igłowicz, Klemens Kruszewski, Stefan Bech i Marian Urbański. Pozostali kochali Ziemię Kościńską, chcieli poznawać jej przeszłość i rozwijali się twórczo wraz z późniejszym rozwojem TMZK.

Zaraz po wojnie

Niespełna rok po wojnie, w kwietniu 1946 r., podjęto próbę zorganizowania Towarzystwa Miłośników Kultury w Kościanie. Wzorcem miało być utworzone w Lesznie w grudniu 1945 roku Towarzystwo Miłośników Kultury i Sztuki im. Karola Kurpińskiego. Stanisław Wojciechowski był wtedy kierownikiem referatu kultury i sztuki w Starostwie Powiatowym w Kościanie oraz organistą w farze, Stefan Bech – wpływowym pierwszym sekretarzem Komitetu Powiatowego PPR, Bolesław Igłowicz – radnym powiatowym z ramienia mikołajczykowskiego PSL, Klemens Kruszewski – radnym miejskim, a Marian Urbański – kierownikiem biura PCK i redakto-

rem prasy katolickiej. Pod patronatem starostwa próbowali stworzyć stowarzyszenie z sekcjami: historyczną, literacką, zabytkową, plastyczną, muzyczną, krajoznawczą, fotograficzną i teatralną. Kiedy znaleziono kandydatów na kierowników, Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego uznał, że stowarzyszenie w takim kształcie i z takimi ludźmi zagraża „porządkowi demokratycznego Państwa Polskiego” i koncepcja rozsypała się. Zamiast tego w marcu 1947 roku utworzono Powiatową Radę Kultury, z której w krótkim czasie wyeliminowano regionalistów jako „szkodliwy element z odchyleniem klerykalno - nacjonalistycznym”.

Zanim to nastąpiło, w listopadzie 1946 roku radny miejski Klemens Kruszewski zdołał utworzyć zespół badawczy i redakcyjny dla opracowania historii miasta Kościana przy Miejskiej Radzie Narodowej. W jego składzie znaleźli się m.in. red. Stefan Migdalewicz, przedsiębiorca Ignacy Richter i burmistrz Kościana Jan Witkowski. Do gromadzenia materiałów upoważniono nauczycieli gimnazjalnych prof. prof. Klemensa Kruszewskiego i Edmunda Schulza. Ale okazać się miało, że w czasie politycznej czystki, zapoczątkowanej w 1947 roku, niewygodnych nauczycieli usunięto, pozostali zaś bojkotowali zespół redakcyjny. 29 września 1950 roku ówczesny przewodniczący Komisji Kroniki Miasta Kościana prof. Maksymilian Sibilski oświadczył, że prace nad opracowaniem dziejów miasta Kościana osłabły, a członkowie nie przychodzą na posiedzenia. Cztery miesiące później komisję rozwiązano.

Próby te nie poszły na marne. Igłowicz i Kruszewski





KOŚCIAN

Z A B Y T K I

TEKA I

DRZEWORYTY

STEFANA BECHA
TEKST JANA BIECHOŃSKIEGO

1 9 6 0

Okladka I teki drzeworytów Stefana Becha

► nadal gromadzili literaturę, dotyczącą dziejów Kościana i powiatu, a lata naporu stalinizmu wykorzystali do wzbogacania wiedzy o regionie, Wojciechowski zajął się grą na organach oraz badaniem historii parafii i ćwiczeniem chórów i zespołów folklorystycznych, Bech – po wyeliminowaniu go z życia politycznego – poświęcił się sztuce, odnawiał na zlecenie proboszcza Tomasza Sworowskiego obrazy w kościołach i zaczął tworzyć słynne drzeworyty kościańskie, a Urbański usilnie poszukiwał sta-

rych egzemplarzy „Gazety Polskiej” i pisał „do szuflady”.

Na fali Tysiąclecia

Po Październiku na pierwszy plan w dziedzinie regionalizmu wysunął się prof. Bolesław Igłowicz. Ponownie został radnym powiatowym i prelegentem Towarzystwa Wiedzy Powszecznej - jeździł po wiejskich klubach w powiecie i głosił odczyty na temat przeszłości Ziemi Kościańskiej, na dodatek - w 1957 roku, przy Związku Nauczycielstwa Polskiego, założył Koło Nauczycieli Regionalistów. W kole tym – poza nim - działali m.in.: Ludwik Beba, Stefan Bech, Jan Bej-

narowicz i Jan Biechoński – z Kościana, Antoni Kaźmierczak z Czacza, Klemens Kruszewski z Kościana, Walenty Matuszczak z Czempinia, Ignacy Minta z Kościana, Czesław Przygodzki z Czempinia i Zenon Świerczewski ze Słonina. Spotykali się często, dyskutowali, opracowali ankiety regionalne, dotyczące rejestru grodzisk i zabytków w powiecie.

Wyraźne ożywienie nastąpiło w 1958 roku, kiedy powołano Powiatowy Komitet Obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Przewodniczącym komitetu został prezes Sądu Powiatowego mgr Edmund Szurkowski, a jego zastępcą - prof. Bolesław Igłowicz. W przygotowaniach do obchodów Tysiąclecia należy dopatrywać się podstawowego bodźca, który w konsekwencji doprowadził do utworzenia Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej.

Profesor Igłowicz uchodził już wtedy za wybitnego znawcę problematyki regionalnej i jemu powierzono koordynowanie, badania historyczne, działalność wydawniczą i wystawienniczą. Dwoił się i troił. Dzięki osobistym kontaktom z benedyktynami w Lubiniu mógł korzystać z bogatej biblioteki klasztornej; w poszukiwaniu kościańskich dokumentów jeździł do archiwów w Poznaniu i Lesznie; poszukiwał autorów opracowań regionalnych i organizował z nimi otwarte spotkania. Sam zaś najczęściej mówił o znaczeniu wykopalisk archeologicznych w powiecie kościańskim i przedwojennym dziele ks. Zygmunta Ciepluchy pt. „Z przeszłości Ziemi Kościańskiej”. Księdzem Ciepluchą zafascynowany był bezgranicznie, tym bardziej, że dobrze go znał.

Profesor wykonał wtedy olbrzymią pracę – sam zgromadził wiele książek i dokumentów o tematyce regionalnej i – co najważniejsze - potrafił skupić wokół siebie ludzi, których tematyka ta interesowała. Od 1958 r. członkowie Powiatowego Komitetu Obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego w Kościanie spotykali się systematycznie raz w miesiącu w salce Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, graniczącej z biurami geodezji, na parterze lewego skrzydła dawnego i obecnego starostwa. Nieoficjalnie raz w tygodniu,

w niedzielę „po kościele” ci, którzy mogli zbierać się w nieodżałowanej pamięci kawiarni „Polonia”.

W tym miejscu pozwolę sobie na osobiste wspomnienie. W latach 1958-1961 jako uczeń liceum - byłem członkiem kółka geograficznego, które prowadził prof. Igłowicz. W 1961 roku - zdaje się jako jedyny z tamtego rocznika - wybrałem geografię jako dodatkowy przedmiot egzaminu maturalnego. Przez cztery lata miałem możliwość bardzo dobrze poznać Profesora. To dzięki niemu i z nim byliśmy kilka razy w klasztorze w Lubiniu, w miejscu dawnych kopalni węgla brunatnego pod Bielewem, na kurhanach pod Łękami Wielkimi, w Czempiniu, Śmiglu, Wielichowie i gdzie tam jeszcze. Punktem wyjścia geografii w wydaniu Igłowicza było krajoznawstwo z naciskiem na znajomość małej Ojczyzny i jej przeszłości. Znał tu każdy kamień, kapliczkę przydrożną, stare grodzisko; znał i legendy, i ludzi tej ziemi.

Monografia i drzeworyty

Jak można było przypuszczać, profesor Igłowicz sięgnął w 1958 roku po starych przyjaciół. Kierownika Archiwum Państwowego w Lesznie Wacława Nawrockiego, autora opracowania „Leszno w dziejach Polski” (wydanego w 1947 roku) polecił władzom Kościana jako potencjalnego autora monografii miasta. 29 lipca 1958 roku Miejska Rada Narodowa w Kościanie podjęła uchwałę o „przygotowaniu historycznej kroniki miasta względnie zarysu dziejów Kościana”. Opracowanie zlecono Nawrockiemu – ten zaś zaczął od przeprowadzenia kwerendy w archiwach i od regularnych spotkań z różnymi środowiskami kościańskimi. Spotkania te miały charakter z jednej strony prelekcji, prezentujących dokumenty, które odkrył; z drugiej – stwarzały autorowi okazję do wysłuchania opinii kościanaików na temat kierunków prowadzonych badań. Magister Nawrocki był jednak poważnie chory, dlatego prace nad „kroniką” postępowały wolno. Ostatnie z cyklu jego spotkań, zorganizowane przez prof. Bolesława Igłowicza, odbyło się właśnie 17 lutego 1961 roku. W każdym razie Wacław Nawrocki dzieła nie ukończył, bowiem zmarł w Lesznie 30 listopada 1961 r.

Wysiłek leszczyńskiego archiwisty nie został zaprzeczony. Rów-



K O Ś C I A N

Z A B Y T K I

TEKA II

DRZEWORYTY

S T E F A N A B E C H A
TEKST CZ. PRZYGODZKIEGO

1 9 6 0

Okladka II teki drzeworytów Stefana Becha

noległe z badaniami historycznymi Wacława Nawrockiego, Powiatowy Komitet Obchodów Tysiąclecia podjął bowiem inicjatywę wydania drukiem kościańskich drzeworytów artysty plastyka Stefana Becha. Piśzę tu „Powiatowy Komitet”, ale z pomysłem wyszedł osobiście sędzia Edmund Szurkowski. Zdecydowano, że ukażą się dwie teki drzeworytów z tekstami objaśniającymi. Do znalezienia autorów tekstów zobowiązano profesora Igłowicza, który sięgnął do ówczesnego regionalnego zaplecza

nauczycielskiego. Dokumentacja gromadzona przez Nawrockiego trafiała do Jana Biechońskiego i Czesława Przygodzkiego. Pierwszy napisał świetny na owe czasy, krótki zarys dziejów Kościana; drugi zaś urocze „przechadzki” po mieście Kościanie. Ich opracowania weszły w skład dwóch tek drzeworytów Stefana Becha, zatytułowanych „Kościan – Zabytki”, wydanych w nakładzie po 400 egzemplarzy, w 1960 roku. (cdn)

JERZY ZIELONKA



Prof. Zbigniew Wielgosz (drugi od lewej) z prof. Zdzisławem Grotem (trzeci od lewej).

Fot. Bogdan Ludowicz

Regionalne poletko doświadczalne

W październiku 1962 r. poznańscy naukowcy, kościańscy regionaliści oraz przedstawiciele miejscowych władz spotkali się, by omówić organizację studium regionalnego w Kościanie. 8 listopada tamtego roku profesor Gerard Labuda przedstawił inauguracyjny wykład. Kościan był polem doświadczalnym, sprawdzaliśmy czy przedsięwzięcie sprawdzi się, czy przyjmie się w takiej formule – wspomina prof. dr hab. Zbigniew Wielgosz, ówczesny sekretarz Komisji Upowszechniania Nauki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Studia regionalne PTPN, których profesor był współinicjatorem, organizowane w miastach powiatowych Wielkopolski były ewenementem w skali kraju. Skąd taki pomysł?

- W latach 60. te studia w miastach powiatowych były jedyną inicjatywą upowszechniania wiedzy. Jedyną, ale nie nową, nawiązywaliśmy do tradycji Uniwersytetu Poznańskiego z okresu II Rzeczypospolitej, kiedy profesorowie jeździli z wykładami do mniejszych miast. PTPN pragnęło kontynuować tę chlubną tradycję, która zakładała propagowanie nauki wśród szerokich odbiorców. Zresztą towarzystwo w swoich początkach, już przeszło 150 lat temu, zapisało w statucie zadanie

prowadzenia wykładów publicznych dla społeczeństwa.

Zaczełicie od Kościana...

- Padło na Kościan, bo czuję się do niego przywiązany, znałem profesora Bolesława Iglowicza, jestem absolwentem tutejszego liceum, wcześniej mieszkałem w niedalekim Bieżyniu, gdzie mój ojciec był kierownikiem szkoły, ponadto w 1961 r. formowało się Towarzystwo Miłośników Ziemi Kościańskiej, do którego należałem. Tam już zaczynała kiełkować działalność regionalistów, na której tak nam zależało. W październiku 1962 r. środowisko poznańskich naukowców i kościańscy regionaliści oraz przedstawiciele władz spotkali się, by omówić organizację studium regionalnego. Stronę PTPN reprezentowali wybitni profesorowie:

Jerzy Topolski, Michał Szcaniecki oraz młodzi doktorzy od „zwykłej roboty” Jerzy Wisłocki i ja. Przedstawicielami drugiej strony byli działacze TMZK: prezes Iglowicz, Klemens Kruszewski, Edmund Szurkowski i Marian Tucholski oraz władze miasta i inspektor szkolny Leon Chojnacki. W wyniku rozmów przyjęto inicjatywę PTPN i powołano Powiatowe Studium Regionalne PTPN w Kościanie. Już 8 listopada profesor Gerard Labuda wygłosił inauguracyjny wykład. Kościan był polem doświadczalnym, sprawdzaliśmy czy to przedsięwzięcie sprawdzi się, czy przyjmie się w takiej formule.

Przyjęło się świetnie, szybko zwojowaliście kolejne miasta.

- Uważam, że to by się nie stało bez udziału tylu wspaniałych po-

znańskich profesorów, znakomitych uczonych, którzy chętnie jeździli z wykładami. Kto tam nie wykladał, żeby wymienić chociażby ekonomistę Floriana Barcińskiego, botanika Zygmunta Czubińskiego, etnologa i historyka Józefa Bursztę, historyka, heraldyka i genealoga Włodzimierza Dworzaczka, historyka Witolda Jakóbczyka, geografa Tadeusza Bartkowskiego, wtedy docentów: historyka sztuki Piotra Skubiszewskiego, socjologa Janusza Ziółkowskiego, ekonomistę doktora Bohdana Gruchmana i wielu innych - najlepsi z najlepszych. Nasza działalność obejmowała aż 20 powiatów, duży obszar do organizacyjnego ogarnięcia.

Wykłady dotyczyły głównie historii?

- Nie ograniczaliśmy się do tematyki czysto historycznej, przedstawialiśmy całokształt wiedzy o regionie. Poza wykładami poświęconymi historii; starszej, nowożytnej i tej najnowszej, przybliżaliśmy zagadnienia z dziedziny humanistycznej, przyrodniczej, społecznej, geograficznej, archeologicznej, etnografii, historii sztuki, socjologii itd. Wykładom historycznym przeważnie towarzyszyła wystawa, potem doszły ekspozycje piśmiennictwa danego miasta: Jarocina, Rawicza, Nowego Tomyśla czy Krotoszyna. Omijaliśmy większe miasta jak Kalisz, Leszno, one miały swoich historyków i badaczy, skupialiśmy się na mniejszych ośrodkach. Ważnym elementem był wykład „Warsztat w pracy regionalisty”, w którym staraliśmy się przekazywać informacje przydatne regionalistom, wyjaśnialiśmy, jak i gdzie szukać informacji, jaką rolę w badaniach pełni archiwum, biblioteka i piśmiennictwo – czyli trzy niezbędne elementy w pracy regionalisty. Chcieliśmy nauczyć techniki pracy badawczej. W późniejszych latach w wykładzie inauguracyjnym mówiliśmy o badaniach regionalnych, czym są, czemu służą, podkreślaliśmy ich społeczną i regionalną wartość. Wykłady odbywały się co miesiąc od października do czerwca, zwykle cykl składał się z 12-15 otwartych prelekcji, o których informowały plakaty rozlepiane w miastach.

Zachęcaliście do zainteresowania się małą Ojczyzną, a to w tamtych latach nie było popularne.

- Stawialiśmy tezę, że bez badań regionalnych nie ma rozwoju nauki. Niektórzy uczeni sarkali, że tymi badaniami powinni zajmować się wyłącznie specjaliści. Na szczęście to spojrzenie stopniowo zmieniało się, a w miastach powstawały monografie, książki historyczne, wspomnienia, napisano m.in. kilkanaście tomów Pamiętnika TMZK. Zresztą Kościan jest szczególnym przykładem ośrodka, w którym kwitła twórczość regionalna. W innych miastach także ożyła działalność regionalna i wydawnicza, ale Kościan stanowi wzorcowy przykład dla innych miast w dziedzinie rozwoju regionalizmu.

Mieszkańcy chętnie przychodzili?

- Tak, średnio w wykładach uczestniczyło 50-60 osób. Ludzie czekali na te wykłady, doceniali, że nauka przychodziła do nich, że przyjeżdżali wybitni naukowcy z poznańskich ośrodków. Najbardziej dopisywała miejscowa inteligencja z różnych kręgów zawodowych. Oni później, przykładem Kościan, sami chwytali za pióro. Proszę spojrzeć, wśród redaktorów pierwszego tomu Pamiętnika Towarzystwa TMZK występują: ekonomista Marian Koszewski, dziennikarz Jerzy Zielonka, nauczyciel Bolesław Iglowicz, lekarz Henryk Florkowski, i przyszły profesor Kazimierz Zimniewicz. Z perspektywy myślę, że zbyt mały był udział młodzieży. Tak jest zresztą do dzisiaj, w wykładach TMZK przeważają słuchacze w średnim wieku. Dobrze by było zaszczerpić w młodych zamiłowanie do regionu. Może przez zapraszanie uczniów szkół?

Często kończyliśmy jeden cykl, a już nas zapraszano na przyszły rok. Z czasem organizowaliśmy wykłady monograficzne, poświęcone konkretnym zagadnieniom. Lista odbiorców poszerzała się, wokół studium rodziły się nowe inicjatywy, jak wspomniane monografie, opracowywano bibliografie. W wielkopolskiej i krajowej prasie ukazywały się liczne artykuły, nadawano audycje w radio. „Gazeta Poznańska” publikowała treści niektórych wykładów. Pan Franciszek Kosiński ze Środy posiadał przebogate zbiory, tysiące pozycji. Oceniliśmy komisyjnie wartość kolekcji i na jej podstawie powstało muzeum w Koszutach. Zdaje się, że

Kosiński został jego pierwszym kierownikiem.

Co przyczyniło się do zamknięcia studium, ludzie przestali przychodzić?

- Nie, przyczyna była dość prozaiczna – reforma administracyjna z 1975 r. i zwiększenie liczby województw. Dopóki Poznańskie funkcjonowało jako całość instytucja studiów znakomicie się sprawdzała, wszystko działało jak w zegarku, ale potworzono małe województwa, z którymi trudniej było dogadać sprawy organizacyjne.

Dzisiaj świat się zmienił, w powiatowych środowiskach nie brakuje wykształconych osób, które same potrafią organizować wykłady, pisać książki historyczne. To ważne, bo regionalizm nie jest drugorzędną działalnością, jeszcze raz powtórzę, bez ludzi pracujących w regionie i wiedzy regionalnej nauka nie będzie prawidłowo się rozwijała.

Czy inne ośrodki naukowe poszły w wasze ślady?

- Raczej byliśmy odosobnieni, chociaż Toruń próbował podjąć podobną inicjatywę, powołano studia w Wąbrzeźnie, Chełmnie, Brodnicy i Rypinie.

Studia regionalne były wielokrotnie chwalone.

- To prawda, dla nas ważna była wysoka ocena Polskiej Akademii Nauk. Posypały się nagrody i odznaczenia. Środowisko polskich naukowców było bardzo zainteresowane. pytano, jak nam się udało przez tyle lat prowadzić takie przedsięwzięcie. To jest przykład pracy organicznej, gdzie różne instytucje przez wiele lat zgodnie współpracowały: PTPN, wojewódzki wydział kultury rady narodowej, władze powiatowe i lokalne środowiska. Profesor Andrzej Kwilecki, który także wykładał w studium, był bardzo związany z tą ideą, zlecał nawet prace magisterskie na ten temat. W PTPN znajduje się bogata dokumentacja świadcząca o działalności studium, skrupulatnie prowadził ją ówczesny dyrektor biura PTPN mgr Adam Walkowiak. Dzięki studium poznałem mnóstwo interesujących osób. To była piękna naukowa przygoda.

TERESA MASŁOWSKA



Dr med., Henryk Florkowski w swoim gabinecie. Fot. Bogdan Ludowicz

Zapiski doktora Florkowskiego (I)

Marzenia o regionalnej publikacji

Osobistą zasługą dr med. Henryka Florkowskiego jest powstanie „Pamiętnika Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej”. Doktor wychodził z założenia, że my, tutaj w Kościanie, korzystając z pomocy poznańskich naukowców, jesteśmy w stanie sami pisać o swoim mieście i powiecie. Zanim jednak doszło do suwerennych naszych publikacji trzeba było stoczyć „bój” z biurokratyczną machiną polityczną, niechętnie ustosunkowaną do myśli regionalnej. Droga do „Pamiętnika”, który w przekroju 50-lecia TMZK jest największą wartością i największym sukcesem, była wyboista. Starania trwały latami.

Doktor Florkowski pozostawił po sobie swoisty dziennik - zapiski czynione co kilka dni przedstawiają wiele aspektów życia miasta Kościana i powiatu kościańskiego i pozostają jako luźne notatki w rękopisie. Miałem szczęście je czytać. Jest okazja, by teraz ujawnić ich fragmenty po to, aby pokazać współczesnym, że zabiegi o to, abyśmy mogli publikować wyniki

swoich własnych badań były trudne, żmudne i długotrwałe, a Doktorowi zawdzięczamy to, że Kościan stał się liczącym w kraju ośrodkiem wydawniczym.

Jest rok 1966. Trwają przygotowania do kościańskiej wystawy Tysiąclecia. Mamy jeszcze nadzieję, że uda się wydać drukiem pierwszy tom „Pamiętnika”. Miałem wtedy 22 lata i byłem studentem ekonomii w Poznaniu. Zajrzyjmy do

dziennika dr. med. Henryka Florkowskiego. (J.Z.)

26 lutego. Z Cukiernikiem, Mendlem i Kuczyńskim na spotkaniu z Zimmerem, który nie pokazał się. Przyjął nas mgr Olszewski - widzę, że przychylnie nastawiony do sprawy. Zdecydował, że może ukazać się tylko jedna większa publikacja. Wyda ją Wydawnictwo Poznańskie. Koszta: plus minus 80 tys. zł. Ewentualnie, aby przyspieszyć druk, może drukować Kościan; musimy jednak przedstawić ich zgodę na wykonanie tego poza planem. Stąd teraz szybko zebrać materiały; za 2 tygodnie przedstawić plan dokładny - treść, objętość itp. Wtedy Olszewski uda się z nami do Wydawnictwa Poznańskiego w celu zawarcia umowy. Zwróciłem uwagę, że bez ich poparcia dostaniemy się w tryby administracji i książka nie wyjdzie wcześniej jak za parę lat. Usłyszałem wtedy, że pomoże. Byliśmy też u redaktorów Chudzika i Dolaty z Gazety Poznańskiej, proponowaliśmy im opracowanie rolnictwa kościańskiego w XX wieku. Droczyli się, ale właściwie im to odpowiada; trzeba ponowić prośbę. Wieczorem przedstawiłem sprawę dr Kozłowskiej - obiecała pomoc nowoczesnych autorów. Odpowie we wtorek...

27 lutego. Pan Zimmiewicz ucieszony - opracuje dodatkowo przemysł. Umówiłem się na jutro z przewodniczącym Mikołajczykiem. Burmistrz Maćkowiak może nam dać 30 tys. zł. Prosiłem, by tymczasem tego nie ujawniać, nie chwalić się.

28 lutego. U przewodniczącego Mikołajczyka. Poświęcił mi 1.5 godziny. Przedstawiłem mu sprawę publikacji. Zapalił się. Będzie chciał coś napisać. Zrobiliśmy plan pracy z wyszczególnieniem tematów. Podchodzi do sprawy poważnie. Chciałby tylko widzieć jako redaktora jakiegoś naukowca z Poznania. Wieczorem umówiłem się z panami Bechem i Mintą, by byli autorami jakiegoś tematu np. wspomnień o powstaniu władzy w 1945 r. czy PPR. Bech zaproponował, że wykona jeszcze kilka grafik. Kuczyński zawiadomił mnie, że X. „osłabł w zapale”.

1 marca. Prof. Bejnarowicz zawiadomił mnie, że jego praca o florze i faunie powiatu kościańskiego została przez inspektora Jakubowskiego wysłana do Ministerstwa Oświaty i stąd nie może być tu drukowana, bo to uczyni War-

szawa i że otrzymał już honorarium z Komitetu Obchodu 1000-lecia. Omawiałem sprawę publikacji z panem Zielonką i tematy jego prac.

2 marca. Krystyna Winowicz chce napisać 50 stron o ks. Józefie Surzyńskim. Nie mogłem dodzwonić się do dr Kozłowskiej.

3 marca. Dzwoniła dr Kozłowska. Ma dużo kandydatów do artykułów, ale wszyscy chcą oddać maszynopisy dopiero po wakacjach. Nie wiem jak to będzie, przecież to są poważne osoby i nie można z nimi szarżować – a tak robię przynajmniej do teraz. Muszę wszystko to od nowa przemyśleć. Z drugiej strony – czy nie przepasuję okazji.

5 marca. Przedstawiłem panu Zimmiewiczowi obecną sytuację z wydawnictwem. Zgodził się z moim stanowiskiem i wątpliwościami. Obiecuje zwerbować jakiegoś profesora po konsultacji z dr. Wielgoszem, jako protektora naukowego.

6 marca. Przedstawiłem sprawę publikacji panom prof. Igłowiczowi i Albińskiemu i oddzielnie panu Zielonce.

7 marca. Rano u przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Mikołajczyka. Rozmowa w obecności wiceprzewodniczącego Andrzejewskiego. Streściłem się w sprawie publikacji. Potem z mgr Kihl Byczko – omawiałem z nią pracę do publikacji. Pokazałem jej rzeczy wykopane przy ul. Szewskiej. Wyraziła swoje oburzenie, że architekt powiatowy nie nanosi tego odkrycia na mapę, że nie interesuje się. Sama uważa, że konstrukcje drewniane mają charakter obwarowań...

11 marca. U I sekretarza Komitetu Powiatowego Urbaniaka w sprawie publikacji o Kościanie. Ten uważa, że w proponowanej formie to nie może się ukazać. Za dużo autorów, zbyt drobne tematy, musi to być monografia. Proponuje docenta Kubiaka na redaktora, skontaktuje się z nim i za tydzień da odpowiedź. Odnosiłem wrażenie, że nie ma zaufania do mnie i do TMZK. Boi się odpowiedzialności itp. W oczy mi nie patrzył. Przedtem rozmawiał z nim przewodniczący Mikołajczyk. Ciekawe, w środę po zebraniu, TMZK, gdy byliśmy na kawie w „Polonii” podszedł do mnie pijany Y. i odezwał się: „Co tu robisz ci fałszerze historii”. Musiał chyba gdzieś coś takiego słyszeć, bo sam nie jest taki mądry, by coś takiego sformułować, a jest instruktorem Komitetu Powiatowego PZPR.

22 marca. Odwiedził mnie pan Zielonka. Miał rozmowę z X. o projekcie publikacji. Wynika z tego, że wszyscy boją się co ten Florkowski, Zielonka i Zimmiewicz mogą napisać czy zrobić.

23 marca. Przyjechał do Komitetu Powiatowego docent Kubiak. Rozmawiałem z nim 2 godziny (bez sekretarza Urbaniaka). Oceniał konkretnie sytuację. Powiedział wszystko za i kontra. Uważa, że należało by wydawać periodyczne tomy a nie roczniki w Pile. On wzięby redakcję. Materiał na I tom już jest. Chodzi o to, abyśmy mieli materiał na ciągłość. Monografia to za droga sprawa. Należy ją przygotować, włączając naukowców poznańskich. On wzięby chętnie redakcję. Inne szczegóły do omówienia. Będzie jeszcze na ten temat rozmawiał z Urbaniakiem. Szanse mamy duże. Pieniądze już trzeba zbierać.

28 marca. Gazeta Poznańska zaczyna drukować pana J. Zielonki „Kościan pod okupacją hitlerowską”.

29 marca. Pogrzeb prof. Biechońskiego. Mimo zakazu liczny udział młodzieży. Odwiedził mnie dr Wielgosz. Przedstawiłem mu sprawę publikacji i roczników według Kubiaka. Przypadła mu do gustu.

31 marca. Podyktowałem prof. Igłowiczowi pismo do Komisji Budżetowo – Finansowej Powiatowej Rady Narodowej w sprawie zarezerwowania pieniędzy na publikację. I podobne pismo należy wysłać do Miejskiej Rady Narodowej.

14 maja. O godz. 13.30, z pewnym opóźnieniem, odbyło się otwarcie w Ratuszu wystawy „Ziemia Kościańska w Tysiąc-

leciu w świetle źródeł pisanych”. Wstęgę przecinał przewodniczący Mikołajczyk. Obecni: I sekretarz Urbaniak, mjr SB Dmitroca, sekretarz Cukiernik. Pan Zielonka napisał informator o wystawie. Włożył w to osobście dużo pracy, w czym pomagali mu panowie Tucholski i Pokładecki. Po otwarciu sala pełna – duże zainteresowanie. Trzeba panu Zielonce pogratulować. Bardzo dobrze, że zaakcentował pomoc osób z TMZK, przy czym za bardzo to zrobił w stosunku do mojej osoby – za duża i niesłuszna reklama mojej osoby.

15 maja. Prof. Igłowicz i pan Albiński, zadowoleni z wystawy; podkreślają zasługi pana Zielonki.

16 maja. Ukazał się w Gazecie Poznańskiej artykuł J. Zielonki o strajku szkolnym w Kiełczewie w latach 1906-1907.

17 maja. Artykuł J. Kuczyńskiego o wystawie w Kościanie – w Gazecie Poznańskiej.

21 maja. Eliminacje drużyn sanitarnych PCK w Śmiglu... Potem kolacja w Domu Kultury. Panowie Cukiernik i Mendel chwalili wystawę Tysiąclecia. Uważają, że trzeba zacząć publikować (periodyk), a monografię zostawić na później; zachwyceni są panem Zielonką. W Muzeum w Śmiglu był dziś ktoś z Muzeum Narodowego z Poznania. Chcą przekazać eksponaty Lesznu. Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Cukiernik i Mendel uważają, że raczej Kościan powinien to dostać. Byle tylko tak dalej myśleli.

(cdn)

5.3.66 Przedstawienie p. Zimmiewiczowi obecną sytuację z wydawnictwem. Zgodził się z moim stanowiskiem i wątpliwościami. Obiecuje zwerbować jakiegoś profesora, po konsultacji z dr. Wielgoszem, jako protektora naukowego.

6.3.66 Przedstawienie sprawy publikacji pp. Igłowiczowi i Albińskiemu i oddzielnie p. Zielonce.

7.3.66 Rano u przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Mikołajczyka. Rozmowa w obecności wiceprzewodniczącego Andrzejewskiego. Streściłem się w sprawie publikacji. Potem z mgr Kihl Byczko – omawiałem z nią pracę do publikacji. Pokazałem jej rzeczy wykopane przy ul. Szewskiej. Wyraziła swoje oburzenie, że architekt powiatowy nie nanosi tego odkrycia na mapę, że nie interesuje się. Sama uważa, że konstrukcje drewniane mają charakter obwarowań...

Fragment rękopisu zapisków Doktora.

W zbiorach prywatnych J. Zielonki



Pomnik Poety na Square Cyprian Norwid.

Fot. Zdzisław Wojtczak

Podróże z literaturą

Wielcy poeci w Paryżu

Z Paryżem związany był także Cyprian Kamil Norwid. Jeżeli pominać krótki półtoraroczny pobyt Poety w Stanach Zjednoczonych i w Londynie całe dorosłe życie spędził właśnie w tym mieście. Żył w nędzy, utrzymując się z najróżniejszych prac dorywczych, z wiekiem coraz bardziej chory na gruźlicę, z postępującą głuchotą i ślepotą. Twórczość Norwida była niezrozumiała dla jemu współczesnych. Doświadczał w życiu wielu porażek i przykrości. Trudno odnaleźć dziś jego miejsca zamieszkiwania w Paryżu. Zresztą niewiele o nim mówią.

Na bruku

W 1877 roku dla poratowania zdrowia postanowił wyjechać do Florencji. Książę Władysław Czartoryski obiecał mu pożyczyc pieniądze na tę eskapadę, proponując dogodne raty jej zwrotu. Wierząc zapewnieniom księcia Norwid wysłał cały swój skromny dobytek (przede wszystkim księgozbiór, rękopisy i obrazy) i wtedy książę... pożyczki odmówił. Poeta znalazł się - bez najmniejszej przesady - na bruku. Część jakże skromnego oso-

bistego „majątku” sprzedał „za długi”, mieszkanie przy rue de Chaillot opuścił, a na wynajęcie nowego nie miał pieniędzy... Kuzyn Norwida Michał Kleczkowski umieścił 56 letniego Poetę w przytułku Św. Kazimierza w Ivry przy rue de Chevaleret 119, na peryferiach Paryża.

Cyprian Kamil Norwid przybył tam 9 lutego 1877 r. i spędził w maleńkiej, przynależnej mu celce zakładu dla starców, ostatnie lata życia. Czym było w tamtych czasach Ivry? Dalekim przedmieściem Paryża. Jak pisał

Poeta w jednym ze swych listów do Antoniego Zalewskiego „*Ja – nie mieszkam w Paryżu, ale parę godzin za Paryżem, w Ivry, skąd mam co kwadrans parowy okręcik na Sekwanie do Paryża idący*”. Z tym „okręcikiem” była pewna przesada. Szczególnie zimą kursował niezbyt regularnie, a czasem w ogóle. Stąd też Poeta niejedną raz wracał z powrotem do zakładu, przemoczony i zziębnięty, skarżąc się, że stateczek nie przybył...

Dziś dawne Ivry to XIII dzielnica Paryża, dynamicznie się rozwijająca. Nasycona wieżowcami, z piękną i olbrzymią biblioteką François Mitterranda (na jej rogach cztery olbrzymie wieżowce, a każdy z nich ma formę otwartej książki), z bezpośrednim połączeniem z centrum Paryża. Pociąg metra zwący się *Meteor*, prowadzony tylko i wyłącznie przez komputer, bez żadnej, absolutnie żadnej

załogi, mknie do śródmieścia za ledwie kilka minut. Ale rue Chevaleret istnieje jak przed laty. Mało tego, pod numerem 119 dalej funkcjonuje Zakład Św. Kazimierza prowadzony, jak sto czterdzieści lat temu, przez siostry szarytki. „Nagłowia ich białe” zastąpiły tylko bardziej skromne chusteczki.

Wnętrze zakładu przez lata przebudowywano. Nie ma już pokoju Norwida. Miejsce, gdzie się mieścił, sygnalizuje na zewnątrz niewielki medalion z jego podobizną. Na podwórku rośnie ta sama paulownia, drzewo z sercowatymi liśćmi, na które Poeta lubił popatrywać. Na zewnątrz zakładu od ulicy, tuż obok wejścia, wisi na murze tablica upamiętniająca pobyt Poety.

Jeszcze jedno miejsce upamiętnia pobyt autora *Fortepianu Szopena*. Ażeby je odnaleźć, sam przecież sporo się naszukałem. Należy od Zakładu Św. Kazimierza pójść dalej aż do schodów prowadzących na rue des Grands Moulins. Po wejściu na górę, od razu po lewej stronie rozpościera się Square Cyprian Norwid. Otwarto go w 2006 r. Przepiękny zielony teren, z zadbanymi drózkami, pełen kwiatów... W pogodny dzień na ławeczkach sporo ludzi, jakieś dziewczęta przysiadają na murku i wesoło rozmawiają, gdzie indziej matka z wózkiem dziecięcym, tam znowu starsza para dostojnie milcząca... Ciekawe czy wiedzą kim był Poeta i co napisał? Niektórzy zapewne tak. Na środku skweru stoi bowiem pomnikczek dłuta profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Aleksandra Śliwy ze stylizowaną otwartą księgą. Na jednej jej stronie, po polsku, słynny norwidowski wiersz:

„Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej,

Wokoło lecą szmaty zapalone;

Gorejąc, nie wiesz, czy stawasz się wolny,

Czy to co twoje, ma być zatracone?

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,

Co idzie w przepaść burzą – czy zostanie

Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament,

Wiekuiętego zwycięstwa zaranie!”

Na drugiej ze stron księgi ten sam wiersz po francusku.

Uwieczniła więc Francja, przy znacz-

nym zresztą wsparciu miłośników poezji Norwida, tego zawsze biednego, samotnego i czasem po prostu opuszczonego Poetę.

Chrześniak Pani Walewskiej

Nie doczekał się natomiast najmniejszej nawet tabliczki Zygmunt Krasiński, także w istotny sposób związany z Paryżem. Urodził się w pałacu przy Boulevard Montmartre pod numerem 10. Dziś znajduje się tam sporych rozmiarów pasaż handlowy pełen sklepów i hoteli. Krasiński został ochrzczony w znajdującym się nieopodal kościele Notre-Dame-de-Lorette. Co warto zaznaczyć trzymała go do chrztu, znana z romansu z cesarzem Francuzów, Maria Walewska. W Paryżu wydano w 1835 r. *Nie-Boską komedię*, a w 1836 *Irydioną*. W latach 1844-1848 Krasiński w Paryżu pisał *Psalmy przyszłości*. Mieszkał wówczas przy rue de Penthièvre 22. Po śmierci, 23 lutego 1959 r. w

Branicki do Opiniogóry.

Z kościołem de la Madeleine związany był również w pewien sposób Juliusz Słowacki. O tym epizodzie może jednak za chwilę. Najpierw o związkach bardziej ogólnych Słowackiego z Paryżem. Mieszkał tu przez długie lata. Najdłużej, i tam też umierał, na poddaszu budynku przy rue de Ponthieu 34. Opis tego mieszkania utrwalił m.in. Cyprian Norwid – dwa maleńkie pokoiki, których okna wychodziły na zachód, przed nimi wąskie ganek, a na nim kilka doniczek z kwiatami, no i „ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały”. Budynek przy rue de Ponthieu 34 istnieje do dzisiaj, ale jego odrapana, ponura brama wcale nie wieści, że tu powstawały takie poematy jak *Król-Duch*, czy dramaty jak *Fantazy* i *Samuel Zborowski* – perły wśród najważniejszych dzieł polskiej literatury.



Kościół Św. Magdaleny w Paryżu.

Fot. Zdzisław Wojtczak

Paryżu, w kościele Saint-Philippe-du-Roule (który był jego kościołem parafialnym, podobnie jak Juliusza Słowackiego) odprawiono żałobną Mszę Św. Następnie trumnę z ciałem trzeciego Wieszcza przeniesiono do podziemi kościoła de la Madeleine, znane już z opowieści o Adamie Mickiewiczu w Paryżu. Trumna ze zwłokami Krasińskiego spoczywała tu aż do końca maja 1859 r., kiedy to została zabrana przez jego żonę Elizę

W tym mieszkanku na poddaszu odwiedził Słowackiego Adam Mickiewicz próbując namówić go do powrotu do Koła Towiańczyków. Stamtąd Poeta miał bardzo blisko (tylko poprzez Avenue Gabriel i rue de Rivoli) do Jardin des Tuileries, po których tak lubił spacerować i siadając na licznych ławeczkach czytać gazetę, której taniocść wprowadzała go w zadziwienie



Tu Maria Walewska trzymała do chrztu Zygmunta Krasińskiego.

Fot. Zdzisław Wojtczak

Jardin des Tuileries... Tuż przy ogrodach znajduje się pałac Tuileries. Z jego okien przed laty dwaj młodzi wiwatowali na widok odbywających się przed nimi parad wojskowych. Jednym z nich było Orłatko – syn Napoleona, a drugim, przyjaciel i uczestnik zabaw tego pierwszego, ubrany w dziecięcą mundur polskiego szwoleżera – Zygmunt Krasiński. Ten mundur czteroletniego Zygmunta zachował się i jest przechowywany w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Pojedynek na improwizacje

Wracając do Słowackiego. W Paryżu wyszedł, podobnie jak wiele innych jego utworów - *Kordian* w oficynie Pinarda. O tym drukarzu i jednej z jego córek o imieniu Kora i jej związkach ze Słowackim wspominałem w poprzednim odcinku *Podróży z literaturą*.

Wróćmy na chwilę do kościoła de la Madeleine i epizodu Słowackiego ze świątynią związanego. Słowacki przez Adama Mickiewicza, a

w szczególności przez osoby skupione wokół niego, lubiany raczej nie był. Pewnym tego wyrazem była słynna uczta wydana przez braci Januskiewiczów w dniu 25 grudnia 1840 r. i wygłoszone w jej czasie improwizacje obu Wieszczów. Notabene uczta odbyła się na drugim piętrze budynku stojącego przy rue de l'Echaudé 9, zaledwie kilka kroków od Boulevard Saint-Germain. Mówiąc najkrócej - Słowacki traktował to spotkanie jako zgodę czy jej zapowiedź z Adamem. Ludzie skupieni natomiast wokół Mickiewicza publicznie opowiadali, że nie było żadnej zgody, a Mickiewicz upokorzył autora *Kordiana* swą potęgą i ocenił jego poezję jako niewiele co wartą twórczość.

Słowacki na te zaczepki nie pozostał głuchy. Jego poetycką odpowiedzią były fragmenty *Beniowskiego*. W szczególności *Pieśń V* poematu, ta z najbardziej znaną, słynną frazą:

„Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja!

I moje będzie za grobem zwycięstwo!...”

Odpowiedzią wszystkich, którzy poczuli się obrażeni strofami Beniowskiego było wyzwanie Słowackiego na pojedynek przez literackiego krytyka Stanisława Ropielewskiego. O ironio, jego nazwisko ostało się w dziejach li tylko z tego właśnie powodu. Pojedynek miał mieć miejsce pod murami Paryża 15 czerwca 1841 r. Oddajmy głos samemu Słowackiemu, który w liście do Joanny Bobrowej pisze m. in.: „...we wtorek... o godzinie 5-tej rano obudziłem się... spojrzałem na drzewa rosnące pod moimi oknami, na słońce złote... i ubrawszy się cały na czarno, tak ażeby żadnego celu na mej osobie nie było, wyszedłem... Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatowy, kupiłem za grosz różę ...”. Na szczęście pojedynek do skutku nie doszedł. A targ kwiatowy obok kościoła Magdaleny istnieje do dziś. I dalej może na tam kupić różę, choć już nie za grosz. I to jest właśnie Paryż i urok tego miasta.

ZDZISŁAW WOJTCZAK

Dzienniki Macieja Morawskiego (VI)

Złamana gwiazda

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy szósty odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2011 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

1 stycznia

Od dziś Węgry na pół roku obejmują przewodnictwo w Unii Europejskiej. Po nich, od 1 lipca do 31 grudnia 2011 r. ta funkcja przypadnie Polsce. Wiktor Orban, premier Węgier wyraził przekonanie, że rok 2011 będzie najtrudniejszym okresem w życiu Unii od chwili upadku komunizmu. Mam nadzieję, że Orban, energiczny realista, ale też niestety postać kontrowersyjna, zwolennik rządów silnej ręki i cenzurowania mediów we własnym kraju, ostro weźmie się za pilnie potrzebne śmiałe posunięcia gospodarcze, za konieczne reformy zmierzające do pchnięcia Europy na tor nowego rozwoju... Ku mej radości Węgry za swą wytyczną uznały ponoć hasło: „Mocna Europa”. Oby tę wytyczną zrealizowały! Ważnym aspektem stanie się teraz współpraca Orbana z Parlamentem Europejskim. Dużą rolę w obecnych trudnych czasach przypisuję wielkiej inteligencji i umiejętnemu postępowaniu Jerzego Buzka...

Jedno dla mnie oczywiste: Polacy wspólnie z Węgrami, także opierając się na starej przyjaźni polsko-francuskiej i obecnie dobrych stosunkach z Niemcami, winni odegrać wielką rolę w trudnej bitwie! Odnoszę wrażenie, że polskie społeczeństwo nie dostrzega w pełni ogromu zagrożeń czyhających na Europę. Apeluję do europośła Bogusława Sonika, do działaczy polskich ruchów europejskich, do Janusza Bazydły, do tak zainteresowanego problematyką europejską Mariusza Kubika, Jerzego Zielonki i do wszystkich mych przyjaciół, by tak czy inaczej starali się w miarę swych możliwości mobilizować rodaków w boju o los Europy! Pełen troski o nasz kontynent, często myślę o „Ojcu Europy” Ro-

bercie Schumanie i jego współpracownikowi Robercie Rochefort. Obaj okazali nam, Wolnym Polakom, wiele przyjaźni, w wielu sprawach skutecznie pomogli!

2 stycznia

Wczoraj byłem na obiedzie u Prezesa Wspólnoty Francusko-Polskiej Krzysztofa Jussac'a (Jussac de Junien, to rodzina francuska, która pod koniec XVIII w. osiadła w Polsce) i u jego żony Bożeny Magott, długoletniego sekretarza generalnego tutejszego oddziału SDP. Obiad świetny. Rozmowa dotyczyła m.in. nadającego na Paryż i okolice Radia Solidarność. To radio powstało 17 grudnia 1981 r. i istniało do 1984 r. Ponoć w pewnym okresie miało kilkaset tysięcy słuchaczy. Nadawało w kilku językach, mobilizowało Paryżan do manifestowania w obronie „Solidarności”, przynosiło wiele informacji. Powstało z inicjatywy siedemnastoosobowej grupy, głównie studentów paryskiej Szkoły Nauk Politycznych, Polaków i Francuzów. W pewnym momencie radio nadawało także nieco audycji po afgańsku! Jednym słowem szło o radio walczące o wolność! Wśród jego głównych założycieli byli: Krzysztof Jussac, Ryszard Laskowski, Stefan Tygier... Następnie radio prowadzili Jacek Piotrowski i Agnieszka Szumańska. Mówiłem o owym lokalnym paryskim radiu na falach RWE. Kilka razy zabierałem głos przed jego mikrofonami.


Owe radio, jego powstanie było na pewno jednym z objawów ogromnej, potężnej fali „solidarności z „Solidarnością” jaka ogarnęła Francję po 13 grudnia 1981 r.!!! Przyjaźń polsko-francuska wówczas naprawdę zdała egzamin. Manifestacje przeciw wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce były tu naprawdę imponujące! Miałem moc pracy. Na szczęście przez dni

kilka pomagała mi tłumaczyć na polski napływające z całej Francji depesze Agence France Press, dotyczące pro-polskich wieców, zebrań, wypowiedzi Danuta Szumska, świetny dyrektor polotyńskich Editions du Dialogue. Widząc co się dzieje, samorzutnie przyszła mi z pomocą!

6 stycznia

Spieszę tą drogą podziękować za liczne życzenia noworoczne, które mi nadesłano. Raz jeszcze serdecznie dziękuję władzom powiatu i miasta Kościan, także mieszkańcom Gminy Krzywiń! Życzę wszystkim moim przyjaciołom wiele szczęścia w nadchodzącym roku. No i naturalnie składam życzenia całej prasie powiatu kościańskiego! Nie pomijam, rzecz jasna, mych przyjaciół z innych stron Polski i dodam, z całego świata! Szczególnie dziękuję za jakże miłe posłanie telefoniczne Pani Izabeli R. z Warszawy!

A teraz krótka wiadomość: Na pierwszej stronie działu ekonomicznego dzisiejszego „Le Figaro” duży tytuł stwierdza, iż firma samochodowa Renault padła ofiarą afery szpiegowskiej! Trzech pracowników jej kadry kierowniczej jest podejrzewanych o „zdradzenie informacji strategicznych dotyczących samochodów elektrycznych”. Jedno pewne: wiele wskazuje na to, że coraz więcej wielkich spółek widzi przyszłość w autach elektrycznych. Narasta współzawodnictwo, kto najszybciej zdoła rzucić na rynek dobry „elektrowóz”. Sprawa może mieć nieobliczalne skutki. Czy np. załamią się ceny ropy naftowej? Eksperci futurologzy starają się przeanalizować skutki tego wszystkiego. Inny aspekt sprawy: prawdziwą plagą staje się teraz wykradanie firmom ich wynalazków, planów produkcyjnych itd.

Z kolei odpowiem teraz na pytanie jednego z czytelników bloga dotyczącego Al-Kaidy. Otóż w moim pojęciu ta organizacja wie dzie akcję długofalową. Wykorzystując napięcia społeczne w krajach arabskich, 

zabiega o obalenie tamtejszych tych lub innych rządów. Chce tym krajom narzucić reżym islamskie. Chce też zniszczyć Izrael. Niektórym fanatykom marzy się ponoć nawet „upokorzenie” Europy: głoszą oni, że nadejdzie okres potęgi, wielkiego, zjednoczonego państwa islamskiego. Wszystko to, z wielu przyczyn brzmi dość bzdurnie (podziały religijne islamistów itd.), ale podnieca część mahometańskiej, sfanatyzowanej młodzieży...

9 stycznia

Barbara Miechówka, profesor licealny języka francuskiego oraz od lat znakomity sekretarz generalny Wspólnoty Francusko-Polskiej, pragnie nie za długo wziąć się do opracowywania dzieła zbiorowego o stosunkach polsko-żydowskich w czasie dwudziestolecia 1918-1939. Liczy na współpracę uczonych polskich oraz wybitnych przedstawicieli środowisk żydowskich. Ta praca, pisana po francusku, ma obiektywnie przedstawić ten złożony temat. Mam wrażenie, że do podjęcia takiej decyzji, skłoniły Barbarę Miechówkę niedawne polemiki polsko-żydowskie i pewne wypowiedzi na łamach wielkiej francuskiej prasy. Zapewne idzie jej o to, by wyjść ze stereotypów krążących we Francji. Myślę, że taka praca jest bardzo potrzebna. Czasami jestem podrażniony, gdy nagle ktoś przypina mi łatkę, mówi: Polak - antysemita. Jakiś czas temu, jeden z mych przyjaciół Żydów, często opowiadał mi dowcipy. Trochę żartobliwie zastrzegając: „Tylko ty nie powtarzaj moich anegdot, bo uznają cię za antysemitę”. I miał rację. Raz czy drugi musiałem wyjaśniać, że zawsze ceniłem Żydów, ich polot i inteligencję, iż jeśli o nich opowiadam dykteryjki (które zresztą zasłyszałem od nich samych), to nie po to, by im ubliżyć. Ale mniejsza z tym.

Ważne, by powstała ta praca, zaplanowana przez Barbarę Miechówkę, mająca przynieść różne opinie i wskazać na całą złożoność problemu. Z być może nieco zbliżonej dziedziny odnotuję, że kilka lat temu powiedziałem jakiemuś francuskiemu lekarzowi, że hitlerowcy rozstrzelali już jesienią 1939 na rynkach wielkopolskich miast np. Kościana i Gostynia, szereg mych krewnych, m.in. mych wujów Miecicia Chłapowskiego i Edzia Potworowskiego. Ów Francuz z miejsca zapytał mnie:

„A pan należy do szlachetnego narodu żydowskiego?” Po prostu nie doszło doń, że już jesienią 1939 r. Hitlerowcy z miejsca pomordowali wielu Polaków, że robili swoistą czystkę, wyniszczanie najbardziej dynamicznych polskich elementów.

12 stycznia

Jutro ma odbyć się w Polskim Radiu całonocna konferencja, dotycząca Radia Wolna Europa i innych rozgłośni nadających w czasach PRL w języku polskim. Staraniem dyrektora Andrzeja Mietkowskiego Polskie Radio otwiera specjalne, odpowiednio zabezpieczone archiwum wolnoeuropejskich nagrań. Jak wiadomo, po pewnym czasie, kasety i taśmy ulegają uszkodzeniu. Za pośrednictwem mego przyjaciela Lechosława Gawlikowskiego skierowałem na ręce organizatorów spotkania następujące postanie:

„Dzień uruchomienia cyfrowego archiwum RWE na historycznej stronie Polskiego Radia jest dla mnie wielką satysfakcją moralną. Archiwum dźwiękowe RWE zamienia się w ten sposób w pulsującą życiem kronikę historii Polski. Kronikę, o której marzyli ludzie tacy jak Jan Nowak-Jeziorański, Zygmunt Michałowski, prezydent Edward Raczyński, mój ojciec Kajetan Morawski, Józef i Maria Czapscy, Kot Jeleński, Zofia Romanowiczowa, Michał Borwicz, Tadeusz Nowakowski, Wacław Zbyszewski i wielu innych. Twórca tej realizacji, Andrzej Mietkowski, urodził się w roku 1956 w Moskwie. Później, rzecz jasna już w Polsce, szybko stał się działaczem opozycyjnych organizacji studenckich także KSS KOR i innych ruchów opozycji walczącej. Od 1981 do 1990 r. przebywał na emigracji. Był korespondentem BBC i RWE. Do naszego paryskiego biura Wolnej Europy na 20, av. Rapp ściągnął go słynny Rafał Gan-Ganowicz, autor książki „Kondotierzy”, były antykomunistyczny żołnierz ochotnik np. w Jemenie.

A teraz inna sprawa. Otrzymałem niezwykle miłe życzenia noworoczne od pani Kuźmińskiej - dyrektora Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Kajetana Morawskiego w Krzywiniu. Zaraz jej odpowiedziałem, ale chcę tu raz jeszcze mocno podkreślić, że jestem głęboko przywiązany do Ziemi Nadobrzańskiej, każde echo stamtąd sprawia mi radość, bardzo serdecznie pozdrawiam ciało pedagogiczne i wszystkich uczniów tej krzywińskiej szkoły.

13 stycznia

Nakładem słynnego Domu Wydawniczego „Grasset” ukazała się tu książka Agaty Tuszyńskiej pt. „Wiera Gran, l' accusée”. Przekładu na francuski dokonała Izabella Jannes-Kalinowska. Biografia ta z miejsca wzbudziła zainteresowanie. Dzisiejsze „Le Figaro Littéraire” przynosi spory artykuł Alice Ferney pt. „Celle, qui n'a jamis quitté le ghetto”. „Le Figaro” zamieszcza też piękne zdjęcie młodej Wiery, tej „kobiety równie pięknej jak Greta Garbo, mającej głos klasy tej co Marlena Dietrich”! Swego czasu spory dotyczące pani Wiery odbijały się także i we Francji mocnym echem. Wszak długo mieszkała w Paryżu. Miała tu przyjaciół i przeciwników. Chodziło o ofiarę strasznych czasów, o postać dramatyczną! Znałem ją od lat. Pod koniec życia spędziła jakiś czas w naszym Domu w Lailly-en-Val, pod dobrą opieką Marka Szypulskiego. Właśnie w tym okresie Piotr Morawski kręcił tam film o owym ośrodku. Bywałem z nim i z jego kolegami z ekipy telewizyjnej, w pokoju Wiery. Nie chciała ona jednak „dopuścić kamery do siebie”! Została w mej pamięci jako „była wielka gwiazda, osoba złamana życiem, nieco już pomyłona”.

14 stycznia

Za kilka tygodni Społeczna Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości i Zarządzania uruchomi w Paryżu „zaoczne” studia przeznaczone dla młodych Polaków, którzy nie uzyskali w Polsce dyplomu, a np. teraz pracują zawodowo we Francji. Owa wyższa szkoła zalicza się do grona najbardziej renomowanych polskich uczelni. Działa już z dużym sukcesem w Londynie, gdzie od 2009 r. posiada Zamiejscowy Ośrodek Dydaktyczny (blisko 400 studentów). W pierwszej połowie 2011 r. taki ZOD rusza w Paryżu i w Dublinie. O ile mi wiadomo, mające mieć tutaj miejsce w niektóre weekendy wykłady i spotkania z profesorami, będą odbywać się w ośrodku PAN, dysponującym szeregiem sal wykładowych, i co ważne, położonym w centrum stolicy Francji... Aby zdobyć więcej informacji o tym nauczaniu należy zajrzeć na: www.pao.pl. Odnotuję też, że owa Społeczna Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości i Zarządzania ma swą centralę w Łodzi.

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA

Pielgrzymka niezwyklej wdowy

Barbarę Kaninę ciągnano po sądach. Wdowa po dwóch mężach sądziła się z dziećmi i krewnymi zmarłych. Pierwszym jej mężem był Andrzej Adamowy lub Kościański z Kościana. Pochodził z wpływowej i zamożnej rodziny. Założycielem rodu był Adam Rynd - na przełomie XIV i XV w. burmistrz Kościana. Syn Piotr również był burmistrzem miasta nad Obrą, drugi syn Wawrzyn kupił kościańskie młyny: słodowy, mączny i folusz sukieniczny. Synowie Wawrzyńca: ks. Mikołaj oraz Jarosław, późniejszy burmistrz Kościana, byli kuzynami Andrzeja Adamowego. Na przełomie XV i XVI w. Barbara Kanina była kupcową – zamożną obywatelką miasta Poznania.

Jesienią 1499 r. w domu Barbary Kaniny trwały gorączkowe przygotowania. Poznańska kupcowa w podeszłym wówczas wieku 50 lat wybrała się w długą i niebezpieczną pielgrzymkę do Rzymu po odpust grzechów dla siebie i bliskich. Papież Aleksander VI ogłosił rok 1500 Rokiem Jubileuszowym. Tysiące chrześcijan z całej Europy pospieszyły do Rzymu błagać o odpuszczenie kar i pojednać się z Bogiem. Byli wśród nich wybitni Polacy jak Mikołaj Kopernik ze starszym bratem Andrzejem oraz kanclerz wielki koronny, polityk, prymas Jan Łaski.

Papież uderza młoteczkiem

Decyzja Barbary Kaniny o pielgrzymce do Rzymu była niespotykana i bardzo odważna. W średniowieczu kobiety nie miały za wiele do powiedzenia, najpierw zależne od rodziców, po zamążpójściu były powolne mężowi. Kobieta miała cokolwiek do powiedzenia, jeśli los uczynił ją wdową. Barbara pochowała dwóch mężów. Musiała to być niezwykle odważna kobieta, albowiem na pielgrzymów czyhali grasujący rozbójnicy, przez Półwysp Apeniński wciąż przetaczały się walki, groźne epidemie zbierały śmiertelne żniwo. Wszystko to

powodowało, że pielgrzymi często nie wracali żywi.

„Przed wyjazdem, zwyczajem pielgrzymim, uporządkowała swe sprawy majątkowe, a pielgrzymkę zaczęła zapewne w kościele farnym, gdzie może brat Maciej zapewnił jej nawet obrzędowe pożegnanie pielgrzymie – błogosławieństwo „kija i torby pielgrzymiej”.

Burmistrzowa podróżowała konno, towarzyszyli jej tylko zaprzyjaźniona krawcowa Agnieszka i wozak. W długą i uciążliwą podróż wyruszyli około listopada 1499 r. Miejscami mieli do pokonania trudne górskie szlaki, pora roku nie była ich sprzymierzeńcem, a w przydrożnych gospodach marnie karmiono. Niewielka karawana jechała prawdopodobnie tradycyjną trasą przez Frankfurt nad Odrą, Lipsk, Norymbergę, minęła Wiedeń, potem Wenecję, by na początku grudnia dotrzeć do Bolonii. Nocowali w gospodzie „Pod Koroną”. Tam Kanina spotkała Waclawa – plebana z Rudominy z diecezji wileńskiej. Dla większego bezpieczeństwa dalej pojechali razem. Spieszyli się. Od Rzymu dzieliło ich jeszcze kilkanaście dni, a w wigilię Bożego Narodzenia papież otwierał Rok Jubileuszowy. Z Bolonii przez Florencję, udali się do Sieny, pokonali stary trakt Via Flaminia, aż w końcu ich oczom ukazało się Wieczne Miasto. Zdażyli na uroczyste otwarcie.

„W Wigilię Bożego Narodzenia papież Aleksander VI w tiarze i szatach liturgicznych, otoczony przez kardynałów i praelatów niosących zapalone

świece, został zaniesiony w sedia gestatoria – (papieska lektyka – dop. TM) na plac przed zamurowaną bramę portyku Bazyliki św. Piotra. Młoteczkiem uderzył w mur i po rozebraniu murku, przy śpiewach i modłach, wkroczył do wnętrza bazyliki, aby przed wielkim ołtarzem zaintonować Te Deum. Rów-

nocześnie przy trzech innych papieskich bazylikach (św. Jana na Lateranie, s. Maria Maggiore i św. Pawła za Murami) delegaci papiescy odprawili podobne ceremonie. Rok święty został rozpoczęty”.

Głowa świętej Barbary

Pierwszy rok jubileuszowy ogłosił w 1300 roku papież Bonifacy VIII. Następny przewidywano za sto lat,



Kolegiata z około 1617 r., fragment ilustracji z IV t. „Civitates Orbis Terrarum. Theatri praecipuarum totius mundi urbium liber sextus” Fransa Hohenberga i Georga Brauna.

Fot. Wikipedia

ale Klemens VI skrócił ten okres do 50 lat, potem przypadał co 33 lata (życie Chrystusa), ostatecznie Paweł II roku ustanowił rok święty co 25 lat. Jubileuszowy rok przyciągał do Rzymu rzesze chrześcijan pragnących odpuszczenia grzechów. Otrzymanie

▶ odpustu wiązało się z odwiedzeniem czterech bazylik: św. Piotra, św. Pawła za Murami, św. Jana na Lateranie, s. Maria Maggiore. W 1500 roku należało się udać po piętnaście razy do każdego z jubileuszowych kościołów. Pielgrzym sam oczyszczał się z grzechów, ale miał także okazję wymodlić odpusty dla bliskich i przyjaciół.

Barbara nie prowadziła dziennika, stąd nie wiadomo, gdzie się zatrzymała, czy miała w Rzymie przyjaciół lub znajomych, do których kościołów pielgrzymowała. Przypuszczalnie pierwsze kroki skierowała do Bazyliki św. Piotra i jego grobu, mogła zająć do kaplicy swojej patronki – świętej Barbary.

„Kaplica św. Barbary była wbudowana w kompleks klaszorny S. Quattro Coronati. Jedyne kościół w Rzymie pod tym wezwaniem, starożytny, niewielki kościółek parafialny (S. Barbara), znajdował się w pobliżu Campo di Fiori, wbudowany w dawne mury teatru Pompejusza. Jeden ze spisów stacji w kościołach rzymskich wymienia go, podając ogólnie, że miał liczne odpusty. W kościółku były przechowywane różne relikwie: włosy św. Marii Magdaleny, fragmenty szat Maryi, jakieś relikwie św. św. Bartłomieja, Filipa i Jakuba apostołów, św. św. Petronilli, Aleksego, Sebastiana i Wawrzyńca. Najważniejsze dla Kaniny były jednak relikwie głowy św. Barbary”.

Jeszcze zimą kobiety pożegnały Rzym i Watykan. Do Bolonii towarzyszył im pleban Waclaw. W lutym 1500 r. pielgrzymi dotarli do domu. Rozstanie z księdzem musiało być burzliwe, skoro z końcem lutego zjawił się przed poznańskim sądem kościelnym oskarżając wdowę o niedotrzymanie umowy. Rzekomo Barbara obiecała dowieźć go do Norimbergii, gdzie od bernardynów miał odebrać konia, a przez spóźnienie zakonnicy zwierzęcia nie wydali. Zawezwano świadków, w tym krawcową Agnieszkę. Pleban kręcił. Najpierw odwołał swoich świadków, potem winą o utratę konia obarczył także Agnieszkę, aż wreszcie odstąpił od oskarżenia. Tyle że dobre imię Barbary Kaniny zdążył oczernić.

Batalia o majątek

Barbarę już wcześniej ciągnano po sądach. Wdowa po dwóch mężach sądziła się z dziećmi i krewnymi zmarłych. Pierwszym jej mężem był Andrzej Adamowy lub Kościański z Kościana. Pochodził z wpływowej i zamożnej kościańskiej rodziny Adamów. Założycielem rodu był Adam Rynd - na przełomie XIV i XV w. burmistrz Kościana. Syn Piotr również był burmistrzem miasta nad Obrą, drugi syn Wawrzyn kupił kościańskie młyny: słodowy, mączny i folusz sukieniczny. Synowie Wawrzyńca: wspomniany ks. Mikołaj oraz Jarosław, późniejszy burmistrz Kościana, byli kuzynami Andrzeja Adamowego.

Sam Andrzej osiągnął znaczną pozycję w Poznaniu; warzył piwo, był we władzach cechu, w latach 1453-1454 był rajcą. Należał do niego dom w środku miasta, który rozbudował, z tyłu dostawiając browar. Browar ten stał się kością niezgody z sąsiadami, którzy podali go do sądu. Procesy złamały rozwijającą się karierę, z kolei ambitne przedsięwzięcia wpędziły w tarapaty finansowe. Kilka lat później był już „tylko” cechmistrzem piwowarów. Zmarł około 1472 r. pozostawiając dwóch synów ze związku z Barbarą oraz Jerzego z poprzedniego małżeństwa. Rozgorzała bezwzględna walka o majątek. O interesy pierworodnego dbali stryjowie z Kościana: królewski bakałarz sztuk wyzwolonych ks. Mikołaj Adamowy z Kościana i Jarosław, macochę i jej synów - Mikołaja i Bartłomieja wspierał bakałarz sztuk wyzwolonych ks. Maciej z Międzychodu. 3 lutego 1473 r. wydano werdykt; najstarszy syn Jerzy Kościański otrzymał m.in. pewną kwotę pieniędzy, Barbara odzyskała wniesiony posag i dom przy rynku z browarem.

Po kilku latach ponownie wyszła za mąż. Poślubiła Jana Kanię, bogatego kupca, który pochodził spod Śmigła. Jego także przeżyła, chociaż tym razem nie miała kłopotów z przejęciem bogatego spadku, bo Kania, który zmarł w trakcie sprawowania kadencji burmistrza Poznania, nie miał dzieci z poprzednich związków. Wdowa próbowała prowadzić handel, ale po kilku nieudanych przedsięwzięciach i narobieniu długów, rzuciła kupiectwo i żyła z browaru oraz wynajmu domów. Siwych włosów przysparzał jej syn Jan,

który nie dość, że nie ożenił się, to gdzie tylko mógł zaciągał długi, które matka potem skwapliwie spłacała. Pomagała także zięciowi Pawłowi Walkierowi, który był mężem jej córki Katarzyny. I wciąż była jedną z najbogatszych osób w Poznaniu. W poznańskiej farze z bratem księdzem ufundowali altarię, która jest rodzajem kościelnej fundacji. Życie nie oszczędzało tej dzielnej kobiety, w 1513 r. zmarł zięć Walkier, kilka lat później jedyna wnuczka.

„Na pobożnych rozważaniach”

Pod koniec życia wyprowadziła się z rynku na dzisiejszą ulicę Klasztorną koło fary.

„Zaułki ulic otaczających kolegiatę św. Marii Magdaleny obfitowały w niewielkie piętrowe domki, bez podwórek, zamieszkałe przez dewotki i kler kolegiacki... Osiedlenie się tu Barbary Kaniny świadczyło o zamiarze spędzenia końca życia na pobożnych rozważaniach i modłach. Miała blisko do swej kaplicy w farze. Interesujące jest, że w tym samym czasie towarzyszyła jej pielgrzymki, krawcową Agnieszką, wymieniona została – chyba jedyny raz – w aktach miejskich, jako mieszkająca w domku, którego tyły wychodziły na ulicę Żydowską. Nie wiemy jednak, czy był to domek przy Wronieckiej, czy przy Szewskiej, ale właśnie tam przy kościele dominikanów na Szewskiej i przy kościele dominikanek przy Wronieckiej mieszkały dewotki z uboższych rodzin poznańskich... Obie pielgrzymujące do Rzymu poznańki schylek życia chciały poświęcić na modlitwy w poznańskich kościołach – każda w środowisku odpowiadającym jej pozycji społecznej”.

Barbara Kanina zmarła na przełomie 1521/1522 r. Prawdopodobnie została pochowana w ufundowanej kaplicy w ówczesnej farze. Ciało najbogatszej poznańskiej patrycjuszki jeszcze nie ostygło, a już wybuchł spór między spadkobiercami.

TERESA MASŁOWSKA

*) Tekst oparto na ustaleniach prof. Jacka Wiesiołowskiego, cytaty pochodzą z jego książki pt. „Jak poznańska burmistrzowa ze swą krawcową do Rzymu na jubileusz 1500 r. pielgrzymowała” Poznań 2010.

Racot

w pryzmacie historii

„Mile zaskoczyli mnie mieszkańcy Racotu, którzy włączyli się w moją pracę i bardzo chcieli pomóc. W drugim roku pisania rozmawiałam z ludźmi, odwiedzałam racocian w ich domach, z zakamarków wyciągali pamiątki i zdjęcia. To była najprzyjemniejsza część pracy – opowiada Teresa Wiśniewska, autorka monografii „Racot. Perła Wielkopolski”.

Polonistka, opiekunka biblioteki szkolnej, spędza pani życie wśród książek...

- Zawsze lubiłam książki, miłość do czytania wyniosłam z rodzinnego domu. Wychowałam się na wsi koło Jarocina, mój ojciec był rolnikiem, ale nietypowym, wszystko co robił opierał na książkowej wiedzy. Już w młodości, kiedy w południe wszyscy odpoczywali, wsiadał na rower i jechał do biblioteki. Sam potrafił niezłe pisać, miał „lekkie pióro”. Chciał zostać nauczycielem, ale los zdecydował inaczej. Wywarł wpływ na moje zainteresowania i późniejsze wybory życiowe.

A mama?

- Niestety zmarła, kiedy miałam cztery lata. Nie pamiętam jej zbyt dobrze. Ojciec pracował w gospodarstwie, mnie wychowywały obce osoby – gosposie. Po kilku latach ojciec ponownie ożenił się. Urodzili się młodsza o 10 lat siostra i jeszcze młodszy brat. Siostra jest matematykiem, brat elektronikiem. Brakowało mi jednak mamy, tęskniłam za nią. Książki pomagały trochę ukoić tęsknotę?

- Do pewnego stopnia. Kiedy poszłam do liceum w Krotoszynie, profesor, polonista, opiekun szkolnej biblioteki wybrał mnie na „kierowniczkę” biblioteki szkolnej, tam czytałam do woli. Potem na polonistyce program przewidywał do przeczytania

rocznie około 350 książek. Wychodziło, że trzeba przeczytać jedną dziennie.

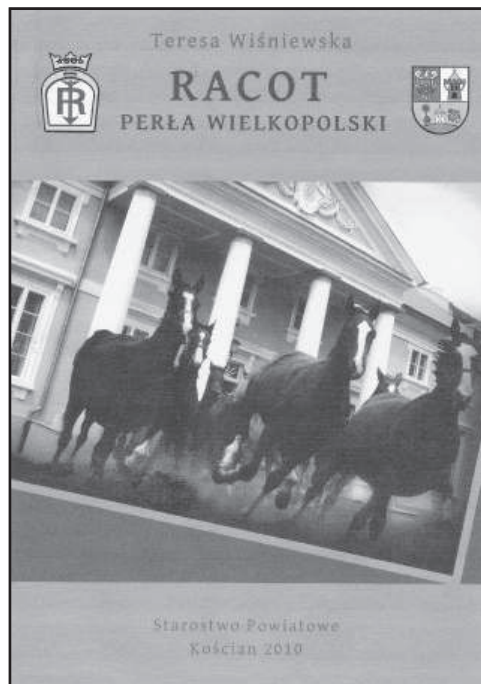
Zatem filologia polska była oczywistym wyborem?

- Nie, nie tak oczywistym. To był okres, kiedy szkoła wybierała trzem najlepszym uczniom kierunek studiów, reszta absolwentów dostawała nakazy pracy. Profesorowie chemii i mate-

nauczycielką i opiekunem biblioteki szkolnej. Zmodernizowałam ją, wykorzystywałam to, czego nauczyłam się w liceum. Dostałam za to, za przyczyną pana Piotra Beby, dużą, jak na owe czasy, nagrodę, równą czterem ówczesnym pensjom. W Jarocinie ukończyłam trzystopniowy kurs bibliotekarski; zaproponowano mi nawet funkcję kierownika powiatowej biblioteki w Kościanie. W 1972 roku przenieśliśmy się z rodziną do Racotu; tutaj mąż dostał pracę. Byłam nauczycielką, później dyrektorem szkoły.

Właśnie w Racocie pierwszy raz sięgnęła pani po pióro, współtworząc „Dzieje szkoły w Racocie”?

- Zaczęło się od tego, że nauczyciel śp. Zbigniew Ratajczak zaproponował bym napisała rozdział o szkole w Gryżynie. Były trudności ze zdobyciem materiałów, a on wiedział, że coś tam już w szufladach mam. W Bibliotece Uniwersyteckiej poprosiłam o materiały na temat Gryżyny. Otrzymałam dokumenty nie tylko o szkole, ale o Gryżynie w ogóle. Zgromadziłam wszystko, a potem było żal, że ta wiedza zostanie zapomniana, więc zaczęłam pisać historię Gryżyny. Zawsze chciałam napisać książkę, ale miała to być książka o moim ojcu. Był bardzo mądrym człowiekiem i wielkim patriotą. Walczył na froncie w 1939 roku, w czasie okupacji stracił żonę, dziecko i został wysiedlony jako pierwszy w gminie, bo rozwoził pisma tajnej drukarni, ale nie udowodniono mu tego. Niemcy nie wywieźli go w głąb Rzeszy, bo bardzo dobrze znał język niemiecki i mógł im się przydać na miejscu. Mimo dramatycznych przeżyć był optymistą i pomagał innym. ➤



Okładka książki Teresy Wiśniewskiej według projektu Magdaleny Rożynek

matyki widzieli mnie na studiach matematyki lub chemii. Studiowałam już chemię w Łodzi – kilka dni. Kiedy moje podanie o stypendium odrzucono, bo ojciec kułak, podjęłam pracę. Dopiero po latach poszłam na filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Przez kilkanaście lat mieszkałam w Kamieńcu, gdzie byłam

▶ Wystarczyło także na autorską monografię „Gryżyna. Dzieje wsi wielkopolskiej”.

- Śmieję się, że „Gryżyna” powstała niejako z przypadku. Ponadto udało mi się nawiązać kontakt z córką Heleny i Józefa Lossowów. Rodzina Lossowów była właścicielem Gryżyny przez sto lat. Najmłodsza córka Lossowów, Halina została zakonnicą i mieszkała w Laskach pod Warszawą. Wymieniliśmy wiele listów. W wieku 97 lat miała jeszcze bardzo żywy umysł, pisała wspomnienia z dzieciństwa, opisywała życie we dworze. Wysyłała nawet artykuły do francuskich czasopism. Wbrew moim obawom, „Gryżyna” była chętnie czytana.. Ludzie z różnych stron Polski, którzy mają swe korzenie w tej wsi, dzwonili, pisali chcąc otrzymać egzemplarz. Potrzebny był dodruk.

Sukces tej książki zachęcił panią do napisania następnej?

- Nie traktowałam tego w kategoriach sukcesu, ale uważałam, że ktoś powinien o Racocie napisać. Przede mną kilka osób próbowało spisać historię Racotu, obawiałam się, że mnie też się nie uda, bo jeśli użyć budowlanego porównania, to „Gryżyna” była budową domku rodzinnego, a „Racot” stawianiem pałacu. Od pewnego czasu redaktor Jerzy Zielonka wspólnie z regionalistą śp. Marianem Koszewskim próbowali zebrać zespół, który podjąłby się opracowania monografii Racotu, ale kiedy przeczytał „Gryżynę”, zaczął usilnie namawiać mnie do spisania historii wsi. W końcu dałam się przekonać, a że należę do tych, którzy muszą dokończyć, jeśli coś zaczęli i jest ta książka.

Jak przebiegała praca nad monografią?

-Wyjęła mi trzy lata z życiorysu. Przez pierwszy rok zbierałam informacje; odwiedzałam archiwa, biblioteki, muzea. Pracownicy tych instytucji chętnie udzielali mi pomocy, na przykład dzięki uprzejmości dyrektora, ze zbiorów Biblioteki w Kórniku mogłam korzystać w jej oddziale w Pałacu Działyńskich w Poznaniu, a rękopis „Kazania na imieniny Doroły Jabłonowskiej” z 1759 roku dostałam nawet w wersji elektronicznej.

Coś panią zaskoczyło w trakcie tych poszukiwań?

- W Racocie mieszkali Niemcy, ale nie sądziłam, że było ich tak wielu. Przede wszystkim jednak mile zaskoczyli mnie mieszkańcy Racotu, którzy chętnie mi pomagali w zbieraniu materiału. W drugim roku „pisanie” rozmawiałam z ludźmi, odwiedzałam racocian w ich domach. Czekali na mnie, z zakamarków wyciągali pamiątki, zdjęcia, stare przedmioty. To była najprzyjemniejsza część pracy, nawet ksiądz proboszcz się włączył w tę akcję i zachęcał z ambony do wyszukiwania pamiątek. Pewnego dnia dzwonek do drzwi, otwieram, w drzwiach stoi pani z dwiema pełnymi torbami, a w nich skarby: stare rodzinne zdjęcia, dokumenty, wśród nich Obligacja Państwowej Pożyczki z 1924 roku, którą zamieściłam w książce. Innym razem odwiedziła mnie była uczennica, przyniosła do wykorzystania dziesiątki zdjęć. Dobra wola, chęć pomocy, których doświadczyłam są wprost nie do przecenienia.

Dziesiątki rozmów, spotkań z mieszkańcami, jaki wyłania się z nich obraz Racotu?

- Racot jest wyjątkową wsią. Jego właścicielami byli książęta, królowie, odwiedzali go wielcy ludzie, prezydenci, no i jest to siedziba sławnej stadniny. Spisanie bogatej i powikłanej historii Racotu nie było łatwe, ale dzięki licznym rozmowom odkryłam Racot bliski nie tylko moim wyobrażeniom, ale widziany oczami jego mieszkańców. Racot ocenia się przez pryzmat jego historii, tym bardziej jest ważne, by teraźniejszość nie wyparła przeszłości i została w pamięci naszej i naszych dzieci. We współczesnym świecie brakuje czasu na historię, dzieci nie wiedzą jak żyli ich rodzice czy dziadkowie. Poza tym nauczycielem pozostaje się do końca życia. Uczyć można nie tylko na lekcjach; można przez lekturę, a nawet przez pokazywanie zdjęć. Niech młodzież doceni to co ma, przodkowie tego nie mieli. Kiedy mama pewnego dziecięciolatka opowiadała mi jak ze swoją mamą stawała nad balią prania, ten dziecięciolatek wtrącił: „A nie mogłyście włączyć pralki?”

Jeśli młodzieży nie uświadomimy, że kiedyś było inaczej, nie będzie tego wiedzieć. Jest jeszcze sprawa ogólniejsza. Czytając o Wielkopolsce, powinniśmy rozumieć jej odrębność, ukształtowaną w ciągu wieków; jest to waż-

ne, zwłaszcza w dobie powszechnej globalizacji, no i poznawanie miejsca, w którym się żyje jest dodatkową wartością. Jeśli książka pomoże w uświadomieniu tych problemów, spełni swoje zadanie.

Co najlepiej symbolizuje wioskę?

- Koń. On pierwszy przychodzi do głowy, gdy myślimy o Racocie, dlatego na okładce znalazły się konie. Zdjęcie otrzymałam dzięki życzliwości Stadniny Koni „Racot”. Zarówno jej zarząd, jak i pracownicy bardzo starali się ułatwić mi pracę. Kiedy chciałam lepiej poznać pracę koniuszych, masztalerzy, umożliwiono mi towarzyszenie im w obowiązkach przez jeden dzień. W stadninie dzień zaczyna się już przed szóstą: karmienie, wyprowadzanie na padok, porządkowanie stajni, czyszczenie koni i wiele innych zajęć.

W końcu trzeba było zamknąć etap gromadzenia źródeł i zasiąść do pisania...

-W trzecim roku pracy zamknęłam się w domu i zaczęłam porządkować, spisywać zebrane informacje. Wiele osób było zaskoczonych, bo nagle przestali mnie widywać, a ja potrzebowałam czas na pisanie. „Na głowie” mam dom, na pracę nad książką mogłam poświęcić nie więcej niż trzy, cztery godziny dziennie. Niektórzy już myśleli, że książki nie będzie. Pisanie najczęściej zaczynałam około dziewiątej wieczorem, a gasiłam światło o pierwszej w nocy. Pomagała mi rodzina; syn i córka nauczyli mnie sprawnego posługiwania się komputerem. Ze wszystkich etapów pisanie okazało się najprostsze. Żartuję, że pisać mogę jeszcze długo, byleby ktoś dostarczał mi materiały, a potem zajął się przygotowaniem tekstu do druku.

Jak monografię odebrali czytelnicy?

- Ludzie czekali na książkę, pytali o nią. Kiedy poznawali siebie, swoje zdjęcia na kartach książki, cieszyli się, że mają wkład w jej powstanie.

Co dalej, następna publikacja?

- Najczęściej pytają o to moje dzieci. Na razie mam dosyć, odpoczywam, zmęczyły mnie liczne wyjazdy, zbieranie materiałów. Ale nie wykluczam, że kiedyś jeszcze zasiądę do pisania.

KATARZYNA ŻUREK

Noblista z Bojanowa

Na trop tej informacji wpadłem dzięki panu Januszowi Hamielcowi, rawickiemu regionaliście, który poinformował mnie, że w Rawickiej Bibliotece Publicznej znajdują się przedwojenne numery Orędownika Rawickiego z materiałami o Bojanowie. Bardzo bliski tego odkrycia był Józef Miedziński, autor artykułu napisanego z okazji trzechsetnej rocznicy nadania praw miejskich Bojanowu, pt.: „Bojanowo na przestrzeni trzech wieków”. W tekście opublikowanym w Orędowniku Rawickim z 16 kwietnia 1938 r. Miedziński pisze:

„Nadmienić wypada, że u kirasjerów bojanowskich (w latach 1889-1993 - przyp. K.W.), jako młody lekarz garnizonowy zapoczątkował swoją karierę medyczną dr von Behring, późniejszy profesor uniwersytetu w Marburgu, słynny w świecie naukowym między innymi ze swego skutecznego antidotum przeciwdyfteryjowego (mieszkał przy Rynku w domu nr 1)”

Miedziński jednak nie zadał sobie trudu, aby szczegółowo sprawdzić życiorys Emila von Behringa, gdyby to uczynił dowiedziałby się, że ten nieżyjący już wtedy od 21 lat naukowiec był pierwszym laureatem nagrody Nobla z dziedziny medycyny. Otrzymał ją w 1901 – roku jej ustanowienia.

Emil Adolf Behring urodził się 15 marca 1854 r. jako syn nauczyciela i piąte dziecko w rodzinie Behringów. Do trzynastego roku życia pobierał nauki u swojego ojca w domu w Ławicach (Prusy Wschodnie), który to dom zarazem był szkołą. Potem uczęszczał do gimnazjum w Olsztynku, gdzie 31 lipca 1874 r. zdał maturę. Emil miał zostać studentem teologii, ale dzięki wstawiennictwu pastora Leipholza z Rudzienic - byłego nauczyciela Behringa, siostrzeniec pastora lekarz nadsztabowy



Prof. Emil Adolf von Behring.

Fot. National Institutes of Health USA

pozyskał dla niego stypendium na studia chirurgiczne w Królewskim Instytucie im. Fryderyka Wilhelma w Berlinie. 31 lipca 1874 r. Emil Behring zdał trudny egzamin dopuszczający do dyplomu, a 15 sierpnia 1878 obrobił pracę dyplomową i po dwóch latach praktyki uzyskał prawo wykonywania zawodu lekarza. Mając za sobą pracę lekarza wojskowego na terenie Prus Wschodnich został oddelegowany jako lekarz sztabowy do Instytutu Farmakologii Uniwersytetu w Bonn.

Pracował tam nad odpornością przeciw zarazie wąglkowej.

W 1888 r. wrócił do Berlina i rok później został skierowany do Uniwersyteckiego Instytutu Higieny, którego szefem był Robert Koch. Prowadzone wspólnie z Japończykiem Kitasato studia nad dezynfekcją doprowadziły naukowców do wniosku, popartego licznymi doświadczeniami, że krew konia uodpornionego przeciw błonicy i tężcowi, może być wy-

► korzystana do uodpornienia innych koni. Wyniki badań nad tężcem Behring i Kitasato opublikowali 4 grudnia 1890 r., a kilka dni później Behring opublikował wyniki samodzielnych badań nad błonicą. Już wtedy zrodziły się nadzieje, że tym sposobem będzie można uodpornić człowieka.

Rok później Emil Behring i dr Erich Wernicke przeprowadzili eksperyment na owcach i otrzymali wysoko skondensowaną surowicę z przeciwciałami błonicy i zaraz w 1891 r. uratowali dwoje śmiertelnie chorych na błonicę dzieci. Dla leków opracowanych przez Behringa i jego współpracowników wprowadzono nowe nazwy: surowica błonicy i surowica przeciw tężcowi. Początkowo surowice te były mało skuteczne, szczególnie, kiedy choroba była mocno zaawansowana, pracowano więc nad ich udoskonaleniem. Badaniami nad immunologią w owym czasie zajmował się również Paul Ehrlich. Naukowcy wspólnie udoskonaliili szczepionki w Instytucie Badań nad Surowicą, który mieścił się w Berlinie, uzyskali produkt, który w 75 procentach skutecznie ratował umierające dzieci.

Za swoje zasługi Behring otrzymał wiele nagród. Najpierw, w 1893 r. tytuł profesora uniwersyteckiego, dwa lata później tytuł nadzwyczajnego radcy medycznego; otrzymał również odznaczenie Francuskiej Legii Narodowej. W 1901 r. z okazji dwóchsetlecia Państwa Pruskiego nadano mu tytuł szlachecki. Jeszcze w tym samym roku Emil von Behring został pierwszym w historii medycyny lekarzem - laureatem Nagrody Nobla. W czasie pierwszej wojny światowej w 1915 r. otrzymał Krzyż Żelazny za szczepionkę przeciw tężcową, która ratowała życie rannym żołnierzom. Kolejny postęp w pracach Behringa wiązał się z opracowaniem mieszanek antydyferytowej o zwiększonej aktywności immunologicznej. W 1904 r. uruchomił własną fabrykę szczepionek w Marburgu, żeby mieć bezpośredni udział w procesie produkcyjnym swoich wynalazków. Emil Behring zmarł na zapalenie płuc 31 marca 1917 r. w Marburgu.

KRZYSZTOF WODYŃSKI

Żołnierz tragicznej armii

Dajcie no książeczkę – rozkazał jakiś młody człowiek. Zapisano w niej służbę wojskową ojca od 1939 roku, cały szlak bojowy. A ten drze ją i zadowolony rzuca: - Nie ma już sierżanta sztabowego Franciszka Koniecznego, bo wyście tam jedli, pili i się bawili, od teraz jesteście szeregowy Konieczny. Co to znaczyło dla człowieka, który przeszedł kampanię libijską, włoską, który nie widział swojego siedmioletniego dziecka!

Żołnierz 3 Dywizji Strzelców Karpackich Franciszek Konieczny chodził ulicami Londynu bijąc się z myślami. Była połowa 1946 r., kiedy jako sierżant sztabowy przy dowództwie, przybył do Wielkiej Brytanii. Musiał podjąć jedną z najważniejszych decyzji w życiu. Był w rozterce. W kraju czekała na niego żona i córeczka, której jeszcze nie widział. Jeszcze we Włoszech dochodziły niepokojące informacje, że powracających żołnierzy Andersa w kraju traktowano jak wrogów. Anglikom także nie byli już potrzebni, zrobili swoje, niech wracają skąd przyszli. W listach do żony, dla ostrożności przesyłanych przez krewną w Belgii, pisał niby do siostry lub koleżanki, że niektórzy koledzy wracają, inni jadą do Australii. Żona odpisywała: - Ja bym twemu koledze radziła, żeby wracał do bliskich i rodziny. Nie jechałabym za granicę, ale gdyby zdecydował się zostać, zrozumiałabym.

Degradacja Karpatczyka

Taką określną drogą dowiedział się na czym stoi. Spoglądał na zdjęcie swojej małej córeczki i tęsknił coraz bardziej. 26 stycznia 1947 r. na statku Batory przyplłynął do Gdyni.

- A tam, żołnierzy niczym pospolitych złoczyńców sprowadzono ze statku wśród drutów kolczastych do jakiegoś baraku, gdzie opryskliwie i z wielką ostentacją spisano ich dane, jakby nie wiadomo z kim mają do czynienia. Takie powitanie zgotowano ojcu w kraju po prawie sześciu latach wojennej tułaczki. Z mamą witali się przez druty. Potem było już tylko gorzej. W ciągu tygodnia nakazano stawić się w Rejonowej Komendzie Uzupełnień w Pozna-

niu: - No, to przyjechaliście! Dajcie no książeczkę – rozkazał jakiś młody człowiek. Zapisano w niej służbę wojskową ojca od 1939 roku, cały szlak bojowy. A ten drze ją i zadowolony rzuca: - Nie ma już sierżanta sztabowego Franciszka Koniecznego, bo wyście tam jedli, pili i się bawili, od teraz jesteście szeregowy Konieczny. Co to znaczyło dla człowieka, który tyle przeszedł, który nie widział swojego siedmioletniego dziecka! - opowiada córka Aleksandra Goździk.

Odtąd co tydzień musiał się stawiać w Urzędzie Bezpieczeństwa Kochanowskiego. Nie mówił, co tam z nim robili. Po każdej wizycie na ubecji przychodził zmaltretowany, zapadał się w sobie. Kiedy żona go pytała, odpowiadał: - Jutuś, dla twojego i Oleńki bezpieczeństwa lepiej, żebyś nie wiedziała. Ten frontowy żołnierz z trudami wojny sobie poradził, przeszedł szlak bojowy z Brygadą Karpacką, stawał oko w oko ze śmiercią. Ale ubeckie represje; groźby i upokarzanie. Tego było już za dużo, z tym nie potrafił sobie poradzić.

- Rozpaczał: po co ja tu wróciłem, krzywdę wam zrobiłem, będziecie przede mną cierpieły, a tak chciałem do was wrócić. Mama tyle mi opowiadała o tatusiu, pokazywała jego zdjęcie, a ja je całowałam i tak na niego czekałam. Ale jak go zobaczyłam, to go nie poznałam go. W rodzinnym domu mojej mamy w Kościanie witały go siostry i brat, moje dwie kuzynki rzuciły się wujkowi na szyję, a ja, jego wytęskniona, niewidziana córeczka go nie poznałam, bałam się go. To go dobiło – wspomina córka. Próbował normalnie żyć, znaleźć pracę. Zwrócił się do zakładu produkującego wodomierze i gazomierze, gdzie pracował przed wojną, ale tam go nie chcieli

go przyjąć, bo było podejrzane co robił przez te dwa lata od wojny. Kazali zgłosić się za dwa miesiące. Na ubecji pytali, czemu trutniu jeszcze nie pracujesz. Wielkanoc 1947 r. spędzali w rodzinie żony w Kościanie. Wszyscy się cieszyli z jego powrotu. Trwały przygotowania do chrzcin, Franciszek miał zostać ojcem chrzestnym. Nikt nie zauważył, że było z nim coraz gorzej, chodził niespokojny, jakby się czegoś bał.

- W pierwszy dzień świąt powiedział, że idzie do pokoju chwilę odpocząć, a on wziął żyletkę i podciął sobie żyły. Coś tknęło brata mamy Władka, wszedł do pokoju, a tato cały zakrwawiony. Karetka zabrała go do szpitala św. Zofii w Kościanie. Powiedział, że teraz już żona z córką będą bezpieczne. Z diagnozą samobójczy stan depresyjny po dwóch dniach został przyjęty do szpitala psychiatrycznego w Kościanie. Tam przebywał 3 miesiące, bardzo dobrze się nim opiekował doktor Oskar Bielawski, wiedział że ojciec był żołnierzem frontowym. Mam leczyła ojca prywatnie, sprzedała pianino i działkę. Ścisła mnie w gardle, jak sobie to wszystko przypominę.

Córka nie mogła pójść do liceum. - Jesteś zapluty m karłem reakcji, twoje dziecko nie ma po co iść do liceum. Aleksandra ukończyła więc technikum geodezyjno-drogowe. Marzyła o filologii romańskiej, ale o studiach humanistycznych też nie miała co marzyć. Ostatecznie skończyła czteroletnie studium języka francuskiego przy Uniwersytecie Powszechnym. Jeszcze w szkole podstawowej zniemacka podchodziła do niej nieznaną kobietą, chwyciła za rękę i przymilnym głosem podpytywała: - Oleńko, a kto u was był wczoraj w domu? Nieraz pod drzwiami ktoś się kręcił, podsłuchiwał.

Ostatecznie udało mu się wrócić do pracy. Był świetnym fachowcem, kole-dzy go szanowali. Przed wojną był kierownikiem warsztatu, potem był szczęśliwy, że dostał stanowisko robocze w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Produkcji i Remontów Wodomierzy w Poznaniu. Po 1956 r. zostawiono go w spokoju. Od czasu do czasu odzywała się choroba, z depresji wyciągali go poznańscy lekarze.

Za polskim wojskiem

Franciszek Konieczny urodził się 29 marca 1903 r. Hanowerze w rodzinie Ludwika i Katarzyny Olszewskiej. Ojciec, prezes hanowerskiego Sokoła,



Franciszek Konieczny, w tle żona i córeczka.

Fot. ze zbiorów Aleksandry Goździk

pochodził z Siekowa w powiecie kościańskim. Los rzucił go za granicę, ale kochał Polskę i utrwalał o niej pamięć. Jak wielu rodaków po 1918 r. wrócił do kraju. Rodzina Koniecznych zamieszkała w Poznaniu. W Hanowerze Franciszek ukończył 3 klasy średniej Państwowej Szkoły Budowy Maszyn. Maturę planował zdać w szkole o podobnym profilu przy Rynku Wildeckim, ale wojsko pokrzyżowało mu szyki. Od 1926 r. przez dwa lata służył na Cytadeli w ba-

onie łączności. Po dwóch latach machnął ręką na szkołę. Do wybuchu wojny pracował w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Produkcji i Remontów Wodomierzy. 28 sierpnia plutonowy Franciszek Konieczny został zmobilizowany do Armii Karpaty we Lwowie. Kiedy tam dotarł z plutonem zobaczył opuszczone przez dowództwo zbombardowane koszary. Przy przekraczaniu granicy węgierskiej został ze swoimi żoł-

► nierzami aresztowany i osadzony w obozie w Jolsva.

Kiedy Franciszek żegnał się z ukochaną Jutką, była w 4 miesiącu ciąży. 17 stycznia 1940 r. urodziło się ich jedyne dziecko Aleksandra. Wkrótce Franciszka przeniesiono do twierdzy w Komarom. Żołnierzom, którzy chcieli dalej walczyć polskie służby wojskowe umożliwiły mu ucieczkę zaopatrując w fałszywe dokumenty i cywilne ubranie. Franciszek Konieczny z grupą żołnierzy i przewodnikiem dotarli do granicy jugosłowiańskiej. W Splicie zdążyli na ostatni rejs statkiem „Warszawa” do Francji.

Na środku Morza Śródziemnego dowiedzieli się o kapitulacji Francji. Skierowali się do francuskiej części Syrii, gdzie formowała się Brygada Strzelców Karpackich przy Francuskiej Armii Lewantu. Po kapitulacji francuskie dowództwo armii opowiedziało się po stronie rządu Petaine’a, na antyfaszystowsko nastawionych Polaków zaczęto patrzeć z niechęcią. Brygada przeniosła się do Palestyny pod dowództwo brytyjskie.

Przy Głowie Węża

Franciszek Konieczny przeszedł z brygadą cały szlak bojowy. W stopniu sierżanta sztabowego walczył pod Tobrukiem. Ciężkie walki toczyły się

przez kilka miesięcy. Ze swoimi żołnierzami organizował łączność, ciągle na czele i pod ostrzałem wroga. Pewnego dnia przy zakładaniu podsłuchu zostali ostrzelani i zasypiani. Po dwóch dniach nieprzytomnych znaleźli ich koledzy i odkopali. Wyszli bez poważniejszych obrażeń. W Tobruku jeden przy drugim mieli stanowiska australijscy, nowozelandzcy i polscy. Szczury Tobruku bardzo się zaprzyjaźniły. Jeśli po wszystkim nie będziecie mogli wrócić do Polski, zapraszamy do nas, pomożemy wam się urządzić - zapewniali. Wielu naszych skorzystało z tej oferty. Po kampanii libijskiej brygadę skierowano do Egiptu, by osłaniała przed Niemcami bazy paliwowe.

Żołnierze Brygady Karpackiej, która potem jako 3 Dywizja Strzelców Karpackich weszła w skład 2 Korpusu Polskiego, byli ze sobą bardzo zżyłi, kasyno było jedno bez podziału na szeregowie i oficerskie. Ich dowódca generał Stanisław Kopański cieszył się ogromnym autorytetem, żołnierze go uwielbiali, a on o nich dbał jak ojciec.

- Tato opowiadał o wizycie generała Sikorskiego z córką, żołnierze silnie to przeżywali, cieszyli się, że do przyjechał. Pięknie im wtedy powiedział, że Polska będzie wdzięczna, Polska o was nie zapomni, wasze dzieci, wnuki i prawnuki będą wam dziękować za to co teraz robicie. Ojciec doczekał tego podziękowania w szpitalu psychiatrycznym w Kościanie. To była tragiczna armia – stwierdza Aleksandra Goździk.

Pod koniec 1943 r. Karpaczczyki zostali przeniesieni do Taranto i rozpoczęli wyzwalamie Włoch. Zakwaterowani w mieście Cassino przygotowywali się do ataku na piekielną górę. Od 12 maja 1944 r. aż do zdobycia Monte Cassino Konieczny był ciągle na linii frontu, walczył przy Głowie Węża, Domku Doktora. Blisko okopów podsłuchiwał niemieckich żołnierzy. Znowu go zasypało, przez dzień nie mogli go odkopać. 18 maja niedostępna, plująca ogniem góra została zdobyta. Droga na Rzym była otwarta. W Bolonii Franciszek Konieczny zakończył szlak bojowy. W połowie 1946 r. przyjechał do Londynu.



Franciszek Konieczny (drugi z prawej) Karpaczczykami.

Fot. ze zbiorów Aleksandry Goździk

TERESA MASŁOWSKA

Wielichowianie w Powstaniu Wielkopolskim

Ukazał się pierwszy tom „Słownika biograficznego Powstańców Wielkopolskich Ziemi Wielichowskiej”. W ciągu najbliższych pięciu lat wydane zostanie 10 tomów, w których przedstawione zostaną sylwetki wielichowskich powstańców.

19 stycznia 2011 r. w Muzeum Powstania Wielkopolskiego 1918-1919 (w Odwachu) Zenon Józwiak, Paweł Michalski i Jerzy Zielonka promowali pierwszy tom „Słownika biograficznego Powstańców Wielkopolskich Ziemi Wielichowskiej”. Spotkanie prowadził dr Zdzisław Kościański, historyk od wielu lat zaangażowany w badanie Powstania Wielkopolskiego. Zebranych powitał przewodniczący sejmiku województwa wielkopolskiego, dyrektor muzeum - Lech Dymarski, mówiąc m.in.:

- Współpraca z Towarzystwem Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919 układa się dobrze. W świadomości mieszkańców Poznania Powstanie Wielkopolskie ogranicza się do Poznania, a przecież wolność odzyskał po półrocznych walkach, które toczono w całej Wielkopolsce. Staramy się wbić poznaniakom do głowy, że powstanie nie skończyło się na 27 grudnia 1918 r. i na przyjeździe Paderewskiego.

Stefan Barłóg, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919 stwierdził m.in.:

- Dziękuję autorom, że zajęli się powstaniem na Ziemi Wielichowskiej, to bardzo ważny wycinek dziejów powstania. Wiele jeszcze mamy do zrobienia - do gruntownego zbadania i opisanie pozostają m.in. rejony Sulechowa i Żagania.

Na Ziemi Wielichowskiej działały silne polskie organizacje i stowarzyszenia, m.in. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Małe miasteczko, liczące przed powstaniem 1800 mieszkańców od listopada 1918 r. przygotowywało się do na-

rodowego zrywu. Żołnierze doświadczeni w bojach I wojny światowej wracali z armii pruskiej zasilając powstańcze szeregi. Jeden z nich był nauczyciel podporucznik Kazimierz Szcześniak. W utworzonej Kompanii Wielichowskiej walczyło około 530 powstańców z Wielichowa i pobliskich miejscowości. Kompania biła się z Niemcami o Wolsztyn, Kargowę i Kopanicę. W powstaniu uczestniczyła do września 1919 r., potem walczyła w wojnie polsko-bolszewickiej.

Słownik pod redakcją Zenona Józwiaka i Pawła Michalskiego, wydany przez Centrum Kultury „Pod Wieżą” w Wielichowie i Instytut im. gen. Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie, jest pierwszym tomem przedsięwzięcia wydawniczego. Umieszczono w nim 35 biogramów powstańców wielichowskich. Zespół redakcyjny pod przewodnictwem naukowym wybitnego historyka i znawcy Powstania Wielkopolskiego prof. dr. hab. Bogusława Polaka, pracuje nad kolejnymi życiorysami. Redaktorzy zapowiedzieli, że w ciągu 5-6 lat opracują biogramy około 500 wielichowskich powstańców, a publikacja będzie liczyła ogółem 10 tomów.

- W opracowywaniu biogramów spotkaliśmy się z wieloma trudnościami, uczestnicy tamtych zdarzeń odeszli już na „wieczną wartość”, mamy problemy w dotarciu do informacji ze względu na ochronę danych, wielu wysiłków wymaga odtworzenie osób powojennych. Jeśli rodziny posiadają informacje, dokumenty, fotografie, prosimy o ich udostępnienie - apelował Zenon Józwiak.

Paweł Michalski mówił o kultywowaniu pamięci o wielichowskich powstańcach, o ich mogiłach, o budo-

wie i renowacji pomnika na cmentarzu i tablic pamiątkowych, o miejscach pamięci oraz o manifestacyjnym pogrzebie poległych powstańców, który odbył się 12 lutego 1929 r.

- Dopiero wtedy urządzono im „prawdziwy” pogrzeb, prowadzony przez księdza, z honorową kompanią wojskową; bo przedtem ciała poległych wrzucono do beziemiennej mogiły - podkreślił.

Redaktor Jerzy Zielonka wspominał badania dziejów powstania na Ziemi Kościańskiej, podjęte w 1968 roku z inicjatywy studenta, obecnie profesora, Bogusława Polaka.

- Bogusław pisał pracę magisterską o wysiłku zbrojnym powiatów kościańskiego i śmigieńskiego w Powstaniu Wielkopolskim pod kierunkiem profesora Zdzisława Grot z UAM. Profesor powiedział mu, że w Wielichowie proboszczem jest ksiądz Bolesław Filipowski, kapelan w powstaniu oraz w wojnie polsko-bolszewickiej. Jeździliśmy do Wielichowa często. U księdza czekało nas zawsze życzliwe przyjęcie i... obiad. Praca magisterska Bogusława stała się impulsem do utworzenia w 1970 roku kościańskiego ośrodka badań Powstania Wielkopolskiego, który zapoczątkowali także ówcześni studenci, później doktorzy nauk historycznych: Piotr Bauer i Marek Rezler.

Sala muzeum była wypełniona - trzeba było dostawiać dodatkowe krzesła. Na spotkanie licznie przybyły rodziny powstańców, w tym wnuk doktora Franciszka Rosta - prof. dr hab. Ryszard Świetlik oraz uczniowie i harcerze z Wielichowa. Obecni byli też wybitni historycy specjalizujący się w badaniu powstania m.in. prof. dr hab. Janusz Karwat oraz dr Marek Rezler.

TERESA MASŁOWSKA



Strona tytułowa „Biuletynu Powiatowego” z 26 stycznia 1946 r. W zbiorach autora tekstu.

Kronika zwykłych przypadków (2)

To jest dokument tamtych czasów. Akcja toczy się na przełomie 1945 i 1946 roku. Tekst powstał w oparciu o raporty Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej i dokumenty Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie, zachowane w archiwum poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Wzbogacono go o relacje i prywatne notatki byłych funkcjonariuszy. Tytuł ma swoje źródło w wypowiedzi jednego z nich: „To wszystko, to były zwykłe, powojenne przypadki”.

30 grudnia 1945 r.

Około godziny 21-tej na drodze z Sikorzyna do Morownicy zamordowano 55-letniego rolnika Antoniego Kurpisa z Nietążkowa, który wracał do domu z wizyty u swej matki w Biskupicach. W dochodzeniu stwierdzono, że śmierć nastąpiła na skutek strzału z bliskiej od-

ległości w prawą skroń, a „pocisk wyszedł lewym okiem”. Zamordowanemu zrabowano 10 000 złotych gotówki, złoty zegarek, długie buty i solidny pasek do spodni. Pasek miał się stać podstawowym tropem w śledztwie.

Z raportu MO: „Sprawca zostawił swój pasek na miejscu czynu. Pasek

ten pokazano młodszemu lejtnantowi śledczemu Armii Czerwonej, który oświadczył, że pasek ten rozpoznaje i widział go u instruktora Armii Czerwonej – sierżanta stacjonującego w Morownicy, lecz nazwiska nie chciał zdradzić”.

Dalszy wyniki śledztwa nie są znane, wiadomo jedynie, że sprawa trafiła do Prokuratury Okręgowej w Lesznie. Z relacje ówczesnych funkcjonariuszy UB na ten temat wynika, że sprawę ostatecznie przejęła jednostka śledcza NKWD z Leszna i wszelki śluch po sprawcy zbrodni zaginął.

31 grudnia 1945 r.

W Kościanie przy ul. Gostyńskiej nieznanymi sprawcami, w noc sylwestrową, skradli kury i króliki z podwórza inż. Mariana Smardza. Musieli się nieźle obłowić, bo wyliczono, że inżynier miał 40 kur i 60 królików. Sprawców – mimo intensywnego dochodzenia – nigdy nie udało się wykryć. W kręgu podejrzeń znajdowali się sąsiedzi, ale po „zwierzątkach” nie pozostało ani śladu.

3 stycznia 1946 r.

Obrabowano Helenę Szaranowską (Kościan, ul. Św. Ducha 17). Dwaj bracia M. wdarli się do jej mieszkania i skradli: pierzynę, kłosz do lampy, skórę na dwie pary zelówek i 11 łyżek posrebrzanych. Sprawcy byli widziani przez świadków, a w ich domu znaleziono wspomniane łyżki. Sprawę skierowano do Sadu Grodzkiego w Kościanie.

4 stycznia 1946 r.

Michał Mocek z Kawczyna wieczorem na szczekanie psa wyszedł przed dom, usłyszał strzał, wziął widły do ręki i zaczął krzyżeć. W świetle latarki dostrzegł, że za domem, na przyległym polu, leży jego świnia, ale już martwa. Milicja z Kościana, która przybyła nad ranem, stwierdziła: „Skradziono świnie na szkodę obywatela Mocka Michała, zabijając ją wystrzałem z pistoletu. Mocek wyszedł na silne szczekanie psa z mieszkania i sprawców kradzieży spłoszył tak, że ci pozostawili świnie na polu i zbiegli. Sprawców nie wykryto.”

5 stycznia 1946 r.

Janowi Kruszonie z Racotu skradziono rower. Podejrzenie padło na żołnierzy Armii Czerwonej. Okazało się jednak, że rower ten znaleziono w sklepie komisowym w Kościanie, a sprzedał go za 825 złotych mieszkaniec Betkowa. Sprawę skierowano do Sądu Grodzkiego w Kościanie. Kradzieże rowerów były wtedy plagą.

6 stycznia 1946 r.

Z cmentarza w Lubiniu skradziono rower Władysławy Szyszki z Jerki. Podejrzenie padło na jej sąsiada, ale rewizja niczego nie wykazała. Milicjanci z Posterunku MO podejrzewali, że w gminie istnieje polska grupa złodziei, która kradnie rowery i sprzedaje je żołnierzom A.Cz.

7 stycznia 1946 r.

Rodzinie Mocków z Sokołowic

skradziono rower. Dochodzenie w tej sprawie prowadził milicjant Franciszek Kowalski – zastępca komendanta Posterunku MO w Buczu. Milicjant przebrał się za kobietę i pojechał do Morownicy, gdzie stacjonowała grupa żołnierzy A.Cz. Tam znalazł poszukiwany rower oparty o drzewo. Wtedy się ujawnił – rower zwrócono właścicielowi.

O godz. 23-iej właściciel sklepu Stanisław Sz.(Kościan, ul. Poprzeczna 11) brał udział w zakrapianym spotkaniu towarzyskim u swego dobrego przyjaciela. Ponieważ wyłączono prąd - co wtedy zdarzało się kilka razy dziennie – dał klucze od sklepu jednemu ze współbiedników po to, aby przyniósł świeczkę i papierosy. Następnego dnia okazało się, że ze sklepu Stanisława Sz. zniknęły: 2 pary butów długich, 3 pary nocnych bamboszy, para trzewików z łyżwami i 8 par bamboszy płóciennych. Wszystko to znaleziono w mieszkaniu posłanego po świeczkę i papierosy.

9 stycznia 1946 r.

Nieznany sprawca w nocy wybił szybę okna wystawowego sklepu firmy Wawrzyńca Czajki w Kościanie. Nocny stróż, który pilnował ulicy Wrocławskiej, wyskoczył z ul. Szewskiej i spłoszył złodzieja. Ustalono, że udało mu się skraść 2 paczki kawy, 10 rolek dropsów i 6 paczek kakao.

13 stycznia 1946 r.

U drzwi mieszkania Wincentego Harendarza w Kopaszewie zjawił się wieczorem żołnierz polski, prosząc o szczerkę do butów i o szklanek wody. Rodzina właśnie spożywała kolację i – zgodnie ze staropolską gościnnością - zaprosiła przybysza do stołu. Po dwóch godzinach gospodarze stwierdzili, że są zmęczeni i trzeba iść spać; gość zaś za nic nie chciał opuścić mieszkania i – naciśkany – wpadł w furję.

Z raportu UB: „Żołnierz zwlekał z odejściem, po czym wziął do ręki toporek i założył go przez ramię. Co się stało dalej Harendarzowie zapodać nie mogą. Milicja z Posterunku MO w Krzywiniu udała się na dochodzenie i stwierdziła duże ślady krwi w mieszkaniu Arendarza, a właścicieli zastała w łóżkach z ciężkimi obrażeniami zadanymi toporkiem. Obywatelka Harendarzowa Michalina zosta-

ła uderzona toporkiem kantem jego, na lewej strony głowy rana 4 centymetry długa; obywatel Harendarz Wincenty odniósł ranę nad lewym okiem długości 3 centymetry oraz skaleczenie twarzy i silne stłuczenie karku. Sprawca usiłowanego zabójstwa został przychwycony przez tutejszy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego przy współudziale Milicji. Sprawcą okazał się Bolesław S., pochodzący z Gostynia.

3 lutego 1946 r.

Nieznani sprawcy zakradli się do zabudowań rolnika Józefa Ustasiaka w Krzanie. Przez okno weszli do chlewa i zabili tam świnie o wadze 70 kg. Po zabiciu świnie oddzielili głowę i zostawili na miejscu, a całą resztę wywlekli przez okno na zewnątrz.

4 lutego 1946 r.

Sześciu żołnierzy A.Cz., uzbrojonych w automaty, zaatakowało dom Kazimierza Szyszki w Gurostwie pod Kościanem. Dwóch z nich sterroryzowało mieszkańców, a czterech penetrowało dom. Zrabowali: 4 suknie damskie, 2 płaszcze damskie, 3 długie szale, 10 koszul męskich, 10 powłok, 2 poraniki, 2 chusty na głowę, 6 marynarek męskich, 4 pary spodni, 2 pary trzewików damskich, 2 prześcierała, 40 chusteczek, 2 halki damskie i 2 duże obrusy.

Z raportu UB: „Po dokonaniu tej kradzieży rozkazali mieszkańcom opuszczać dom w przeciągu dwóch godzin, a sami z łupem uszli. O dokonaniu tej kradzieży zgłosiła obywatelka Szyszka Teresa tutejszemu posterunkowi MO następnego dnia o godz. 11-tej. Wysłany patrol MO ze starszym sierżantem Janem Wichrowskim stwierdził, że ślady prowadziły w kierunku Kościana, wobec czego zwrócono się o pomoc do Komendy Garnizonu Radzieckiego i wspólnie z por. A.Cz. Kowalenko prowadzono wywiad, ale bez wyniku. Sprawę skierowano do Prokuratora Okręgowego w Lesznie.

10 lutego 1946 r.

O północy do zakładu psychiatrycznego w Kościanie usiłowali wtargnąć bliżej dwaj nierozpoznani żołnierze



▶ A.Cz. Skradli odzież i bieliznę. Na tak zwanym gorącym uczynku nakrył ich stróż nocny. Sprawa okazała się tak dalece „skomplikowana”, że sprawców kradzieży „nie udało się ustalić”, a gorliwy stróż nocny miał duże kłopoty z bezpieką.

Z raportu MO: „Dwaj żołnierze radzieccy dostali się do pawilonu Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie i z magazynu tego pawilonu zabrali rzeczy, jak odzież i bieliznę na szkodę pacjentów tegoż zakładu. W drodze powrotnej zostali zatrzymani stróża naszego zakładu Szafoniego Antoniego, który wspólnie z wartownikiem radzieckim zatrzymał ich i wraz z rzeczami odstawił na wartownię wojska radzieckiego, stacjonującego w koszarach mieszczących się w Zakładzie Psychiatrycznym. Wysłany patrol (miliant Musiał i miliant Wichtowski), celem odebrania rzeczy nie zostali wpuszczeni i oświadczone im, że w nocy nic nie zaszło i na wartowni żadnych rzeczy nie ma. Wobec tego patrol zwrócił się do komendy Garnizonu Radzieckiego i wraz z por. Kowalenko udali się ponownie do koszar, lecz i temu oświadczone, że w nocy nic nie zaszło i rzeczy skradzionych nie ma. Sprawę skierowano do Prokuratury Okręgowej w Lesznie”.

12 lutego 1946 r.

Meldunek komendanta Posturunku MO w Śmiglu Wincentego Szczepaniaka: „Melduję, że dnia 12 II 1946r. o godz. 16.30 w Nietążkowie pow. Kościan przejechał samochód ciężarowy Armii Czerwonej Grysa Władysława ze Śmigła, ul. Lipowa 2, ur. 28 IX 1928 w Popowie Starym, syna Antoniego i Jadvigi z d. Stachowiak, obok kamienia drogowego 52,2. winę w tym wypadku ponosi sam pokrzywdzony, ponieważ samochód jechał ze Śmigła do Leszna, trzymając się prawej strony jezdni, zaś Grys wyjeżdżał rowerem ze wsi Nietążkowa na szosę i zamiast skierować się na prawą stronę, przejechał przez szosę na stronę lewą i tam wpadł pod przejeżdżający samochód i został przejechany prawymi kołami doznając całkowitego

zmiążdżenia głowy. Nazwiska szofera nie zołano ustalić, ponieważ po wypadku pojechał dalej, nie zatrzymując się. Oględzin zwłok na miejscu wypadku dokonał dr Skarżyński i sędzia Sądu Grodzkiego Brzeziński ze Śmigła. Dochodzenie przeprowadzał plut. MO Firlej Antoni. Sprawę skierowano do Prokuratury Okręgowej w Lesznie”.

15 lutego 1946 r.

O godz. 23.30 do mieszkania Mirosławy X. w Śmiglu wdarli się trzech żołnierze sowieccy. Skradli 3 spódnice, 2 fartuchy, 5 kabatów, chustę na głowę i 2 marynarki o wartości około 200 złotych. Na gorącym uczynku nakrył ich nocny stróż.

Z raportu MO: „Stróża nocnego Sobierajewicza Antoniego ze Śmigła, który ich w czasie rabunku naszedł, pobili tępym narzędziem po głowie, zadając mu 8 ran. Sobierajewicz jest w opiece lekarskiej.”

16 lutego 1946 r.

O godz. 20-tej dwa żołnierze radzieccy w miejscowości Kiełczewo zatrzymali kierownika szkoły powszechnej w Kurowie – Antoniego Spychałę pod pozorem, że strzelał. Zrewidowali go, zabrali mu dokumenty i gotówkę oraz nakazali mu, aby następnego dnia zgłosił się do komendy garnizonu A.Cz. w Kościanie. Kiedy rankiem kierownik szkoły zgłosił się w komendzie nikt nic o jego zatrzymaniu nie wiedział. Pieniądze zniknęły, a dokumenty odnaleziono przy płocie kiełczewskiej szkoły. Sprawę skierowano do Prokuratury Okręgowej w Lesznie.

17 lutego 1946 r.

O godz. 22.00 przemocą do mieszkania Polki w Śmiglu wdarło się dwóch żołnierzy sowieckich; trzeci żołnierz stał przed domem na straży. Najpierw kobietę zgwałcili, później obrabowali, zabierając 2500 złotych, 4 płaszcze damskie, suknię i „jaczkę”. Sprawcy nie zostali rozpoznani.

19 lutego 1946 r.

W zagrodzie Wojciecha Nyczki w Naclawiu o godz. 22.30 zjawili się trzech żołnierze sowieccy, przedstawili się jako specjalny patrol, który poszukuje rzekomo ukrytej broni i zażądali otwarcia mieszkania.

Z raportu MO: „Jeden z żołnierzy, uzbrojony w automat, rozkazał wszystkim mieszkańcom stać w miej-

scu, a dwaj inni przeszukali całe mieszkanie. Po dokonaniu tegoż zażądali wódki, a gdy gospodarz oświadczył, że nie ma, zrabowali mu mieszkanie, zabierając dwie pary butów długich, jedno ubranie męskie, jedną kapę na łóżko i rower męski. Po dokonaniu tej kradzieży rozkazali mieszkańcom przez przebieg jednej godziny nie opuszczać mieszkania, a sami z łupem uciekli. Przeprowadzone dochodzenie przez Komendę Posturunku MO Kościan wykazało, że nie był to patrol, lecz zwykli żołnierze z koszar, którzy wyszli na rabunek. Sprawców nie zdołano ująć. Sprawę skierowano do Prokuratury Okręgowej w Lesznie”.

20 lutego 1946 r.

O godz. 23-iej w zagrodzie Kazimierza Szyszki w Gurostwie k. Kościana zjawiono się czterech żołnierzy sowieckich. Stukali do drzwi i okien, żądając wpuszczenia ich do domu. Szyszka odmówił, wobec czego włamali się do szopy, wprowadzili z niej konia i udali się w kierunku Kurzejgóry. Ani sprawców, ani konia nie wykryto.

26 lutego 1946 r.

11-letniego Władysława M. z Kościana złapano na kradzieży desek z kościańskiego oddziału Państwowego Tartaku w Rąbinu. Miliant Mieczysław Grzymała wziął chłopca w obronę i raportował, że Władysław M. jest sierotą, jego rodzice zginęli w czasie okupacji, a wychowuje go ciotka – robotnica Państwowego Monopoli Tytoniowego,

Z raportu MO: „Ciotka Władysława M. idzie do pracy o 6.30 i wraca o 15.30. Chłopiec pozostawiony w tym czasie sam, chcąc piec napalić, a nie mając drzewa, do tego systematycznie kradł deski ze składnicy drzewa, a następnie rąbał, by móc rozpalić ogień. Desek takich długości 125 cm, szerokości 34 cm, grubości 33 mm skradł systematycznie – według jego zapodania – trzy deski. Natomiast według zapodania robotnika tartaku desek takich zginęło 10. Jedną deskę jako dowód rzeczowy znaleziono w chlewie. M.W. pozostawiono na wolności”. (cdn)

JERZY ZIELONKA

Krzysztof Żegocki

czyli

Oswobodzenie Kościana (5)

Jest 4 października 1655 roku. Szwedzi okupują Kościan. Część załogi z langrafem heskim Fryderykiem - szwagrem króla Karola Gustawa - udała się na polowanie. Z obozu pod miastem ruszają ku miastu partyzanci starosty babimojskiego Krzysztofa Żegockiego. W jego oddziale znajduje się Szwed, zwany „czarnym porucznikiem”, który szuka zemsty na landgrafie Fryderyku za uwiedzenie narzeczonej i zbrodnie, jakie popełnił na jego rodzinie. Tym odcinkiem kończymy druk fragmentów powieści historycznej Wandy Dobrzepolskiej pt. „Krzysztof Żegocki czyli Oswobodzenie Kościana”. Dodajmy, że powieść ta zawiera fikcję literacką, a przebieg

oswobodzenia miasta nie jest zgodny z ustaleniami dawnych kronikarzy i współczesnych historyków.

(...) Hufiec Starosty zbliżał się do murów miasta. Z okrzykami radości, z największym zapałem, witali mieszczańskie wjeżdżających w bramy oswobodzicieli. Starosta niebawem zajął się obroną. Skierowano działa w tę stronę, z której się spodziewano powrotu Szwedów. Przy działach stali z zapalonymi lontami puszkarze. Na murach porozstawiano gęste czaty. Po tych dopiero przygotowaniach pochwalili Starosta dzielność i sprawność mieszkańców, a przede wszystkim ich przywódcę Szymona.

On dumny magnat, trzymający się zwykle z całą zaciętością przywilejów i

przesądów swego stanu, pogardzając wszystkim co nie należało do szlachty, co nie miało herbów lub tablic rodowych; on wreszcie, w którego oczach męstwo było cnotą zupełnie zwyczajną i naturalną, nie wzdrygnął się wobec wszystkich swych towarzyszków uściskać serdecznie młodego kupca i nazwać go prawdziwym synem ojczyzny, mogącym służyć za wzór wielu noszącym sławne imiona, szczytującym się długim szeregiem przodków.

Gdy się to działo w Kościanie, Szwedzi, obciążeni zdobyczą myśliwską, wracali z gwarem radosnym do miasta, opowiadając sobie nawzajem różne przygody na



Ulica Kościelna w starym Kościanie. Grafika Stefana Becha

lowach. Jeden tylko pułkownik był w najgorszym usposobieniu i milczał ponuro. Uganiając się za dzikiem, przewrócił się był razem z koniem i uderzył twarzą o korzeń drzewa, zraniwszy się ciężko. Wracając więc z twarzą chustką obwiązaną, a przytem dręczony go jakieś czarne przeczucia. Już zbliżyli się Szwedzi, nie domyślając się niczego, o jakieś tysiąc kroków od miasta, gdy nagle zniknęły im z oczu mury w chmurach dymu i usłyszeli huk armat; grad kul posypał się na ich szeregi, roznosząc śmierć, postrach nie do opisania. Jeden tylko generał Nordstern nie stracił krwi zimnej, która go nigdy, nawet w najniebezpieczniejszych chwilach życia, nie opuszczała.

- Stójcie, dzieci! – zawołał na zmieszanych i do ucieczki gotujących się Szwedów. – Czyż pozwolimy odebrać sobie miasto w tak haniebnym sposobie? Kto prawdziwym szwedzkim żołnierzem nie zaś tchórzem nikczemnym, niech dąży za mną!

To mówiąc, dobył miecz z pochwy i ruszył na czele żołnierzy naprzeciw miastu. Na takie słowa i przykład ubóstwianego przez wszystkich wodza, śmiało i odważnie postępowali za nim Szwedzi.

- Jest to znów jedna z niespodzianek Starosty, a szczególnie jego doradcy, czarnego porucznika – rzekł w pochodzie Nordstern do jadącego obok siebie landgrafa... Czy myślicie doprawdy dostać się do miasta. Nie lądźcie się, co Starosta Żegocki raz objął w posiadanie, tego tak łatwo nie puści; nam pozostaje tylko umrzeć z chwałą, żeby z naszego imienia zmyć plamę lekkomyślnej nierozwagi.

- Do tego przyznam się – odrzekł landgraf – nie mam przynajmniej na teraz najmniejszej chęci, dam przeto naszym ludziom rozkaz do odwrotu.

- Czyńcie, jak się wam zdaje – rzekł ponuro Nordstern – ja tutaj pozostanę, żałując tylko, że się oddałem w sprawę z nikczemnym i podłym tchórzem.

*

Lecz już za późno było do odwrotu. Polacy, nie czekając przybycia Szwedów, sami naprzeciwko nim wyruszyli. W jednej chwili złamały się szyki wrogów; walka wszczęła się krwawa. Z jednej strony Starosta słał stosy trupów potężną dłonią w około siebie, w bliskości niego czarny porucznik ze zwy-

kłym sobie męstwem i spokojem wykonywał krwawe swe rzemiosło. Z drugiej, zabójczy miecz Nordsterna nie mniejsze czynił spustoszenia w szeregach Polaków, a jego męstwem zagrzani Szwedzi z nadludzką prawie siłą walczyli odwagą i przeciw gwałtownemu zapałowi Polaków stawiali krew zimną, cechującą germańskie plemiona. Kilka razy już zetknął się Starosta z jenerałem w tym boju, lecz zaciętą walkę przerwał zawsze natłok srogi. Teraz znów się spotkali, a obiedzie strony ustały w walce na chwilę, przypatrując się starciu wodzów.

Zaiste! Był to widok niezwykle! Pojedynek dwóch bohaterów! Takie walki staczały tylko chyba mityczne dawnego świata pół-bogi. Obydwóch postacie olbrzymie, podobne sobie wzrostem, lecz zresztą zupełnie inne. W twarzy Nordsterna spokój bohatera; zimny on i wyniosły, jak posąg z kamienia; przewyższa przeciwnika spokojem, krwią zimną i długim doświadczeniem. Z oczu Starosty błyszczy dzika odwaga, wściekłość prawie; wyższy on od przeciwnika potęgą nieustraszonego niczym ramienia, wyższy szczytnym celem walki. Szwed walczy za honor wojenny; Polak za najświętsze dobra ludzkości, za kraj swój ojczysty, za jego wiarę i wolność... Długo się strasznej walki waży losy. W tem szabla Starosty zabłysła wzniesiono do góry, a potem spadła z potęgą gromu olbrzymią dłonią Krzysztofa skierowaną na miecz Nordsterna. Rozległ się jakiś dźwięk żalony drgający w powietrzu. Przy tym dźwięku zadrżeli Szwedzi. Od ogromnego ciosu prysnął miecz szwedzkiego wodza na dwoje, połowa broni upadła o kilka kroków, część jej tylko trzymał jeszcze Nordstern w dłoni.

- Poddaj się, poddaj, dzielny jenerale; jesteś moim jeńcem, bronić się nie jesteś już zdolny – zawołał triumfujący Żegocki.

Dziko się na te słowa uśmiechnął wódz siwowłosy.

- Panie Starosto – zawołał – za wieleby ci było chwały, gdybyś Nordsterna miał wziąć do niewoli.

I z kawalkiem miecza natarł na przeciwnika. Lecz po krótkiej chwili, jakby gromem rażony, zachwiał się. Z pod przeciętego szyszaka krew purpurowym trysnęła strumieniem i spływała strugą przez włosy srebrzyste. Lecz jeszcze się bronił słabnącą dłonią; nareszcie runął z łoskotem jak dąb stuletni, któremu podcięto korzenie.

*

W tym samym czasie odbywała się w innej stronie bitwy – straszniejsza może, choć o wiele krótsza, inna walka. Tutaj spotkali się z sobą czarny porucznik z landgrafem – nieubłagany mściciel ze zbrodniarzem. Dziką radością zaiskrzyło się oko porucznika, gdy ujrzał naprzeciwko siebie tego, który mu zatruł straszliwe jego życie, sprawcę okrutnych jego męczarni i niedoli.

- H, mam cię wreszcie uwodzicie! – krzyknął złowieszczym głosem. – Teraz się obliczymy krwawym porachunkiem!

Landgraf zadrżał na dźwięk tego głosu; poznał, że nadeszła dla niego ostatnia chwila, że z rąk tego przeciwnika nic go ocalić nie zdoła; lecz ucieczka była niemożliwą; przed nim i za nim wrogowie; przygotował się więc do walki z odwagą rozpacz. Z krwawo – dziką siłą spotkały się ich miecze i w mgnieniu oka landgraf z rozplataną głową zsunął się z konia.

- Fryderyko, jesteś pomszczona! – rzekł porucznik schylając się nad wrogiem.

Lecz to były ostatnie jego słowa; umierający landgraf miał jeszcze tyle siły, że wystrzelił z takiej bliskości do wroga, iż kula przeszła piersi porucznika. Ten zachwiał się i padł nieżywy obok trupa swojego nieprzyjaciela. Tak spoczywali w zgonie obok siebie ci dwaj ludzie, których w życiu tak okrutna rozdzieliła nienawiść. Śmierć godząca wszelkie nieprzyjaźni i złości złączyła ich w grobowym spokoju.

Szwedzi widząc śmierć swych wodzów, nie opierali się dłużej i wkrótce rozproszyli się w ucieczce. Lecz mała ich liczba uszła śmierci. Co ocalało od szabli ścigających żołnierzy Starosty, zginęło okrutniejszą śmiercią od kosy i wideł włościan okolicznych, rozjuszonych strasznym uciskiem Szwedów.

Starosta oglądając pobojuwisko, zatrzymał się na chwilę nad trupem czarnego porucznika:

- Znalazłeś więc śmierć, którąś przeczuwał, biedny przyjacielu – rzekł z boleścią. – Zapewne w innym życiu lepiej ci będzie, niż tutaj na ziemi, gdzie doznał tyle krzywd i niedoli. Oby Bóg ulitował się nad tobą i dał ci wieczny odpoczynek. (Koniec)

Cichy szum tupolewa

Spełniło się moje marzenie. Byłem na Syberii. A teraz wracałem do kraju. Cichy szum lecącego tupolewa zaczął mnie usypiać. Siedząc w wygodnym lotniczym fotelu przed oczami zaczęły przewijać się sceny jak w ostatnich dniach przeżywałem. Zobaczyłem Tobolsk zasypany prawie metrową warstwą śniegu. Przebrnąłem przez zamrażający Irtysz bo potężny żelazny most dla kolei był a nie ludzi. Zamek i cerkiew górująca nad tym etapowym dla polskich zesłańców miastem sprawiały imponujące wrażenie. Brnąłem po pas w śniegu na pobliskim cmentarzu. Bezsukcesyjnie szukałem polskich śladów.

Potem skok daleko na północ. Noc w górniczej osadzie i wódka z miejscowymi. Jakim cudem Michał Piotrowski dowiedział się, że przeszło dwadzieścia kilometrów od niego przebywają Polacy - nie wiadomo. Chciał pogadać po polsku i dlatego pędził na swym śnieżnym skuterze „buranie” w prawie dwudziestostopniowy mróz, by zobaczyć i usłyszeć. Przywiózł ze sobą gościniec, jaki miał. Flaszkę dobrej gorzałki i dwa głuchary. Mówił o pradziadach, co z ostatnią zsyłką w te rejony byli zesłani. Rodaków rozmowy skończyły się na spędzeniu nocy na wąskim łóżku - Michał nie miał siły by wsiąść na swój skuter, a mnie było wszystko jedno, w jakich warunkach śpię.

Na drugi dzień kilkugodzinny lot helikopterem i lądowanie w osadzie dokładnie wyglądającej tak jak u północnoamerykańskich Indian. Powitano nas wręcz wylewnie i tam zobaczyłem żyjące w ścisłej symbiozie z przyrodą i ludźmi piękne łajki. Idąc do zaprzęgu zaczął przede mną się ruszać śnieg. Zjawisko było na tyle niecodzienne, że przystanąłem zdziwiony. Spod białego puchu wygramoliły się dwa śliczne puchate szpicie otrzepując się ze śniegu jak nasze psy z wody. Ale w pole a ściślej mówiąc w tundrę pojechaliśmy nie psim a reniferowym zaprzęgiem.

*

W te półsennie wspomnienia ciągle wplatały się bożonarodzeniowe

święteczne obrazki bo do świąt dzieliło mnie tylko kilka dni. Przed oczami zaczęły pojawiać się obrazy z wigilijnego polowania w zaprzyjaźnionej leśniczówce. Pojechałem tam dwa dni przed świątami. Chciałem odwiedzić dobrego kolegę, którego żona nie umarła - a odeszła do krainy wiecznych łowów - bo myśliwą była. Władzio ucieszył się z odwiedzin ogromnie i prawie z marszu zaproponował. Idziemy w pole. Wiedział, że kocham polować na bażanty. Jego Wyżeł o imieniu Bis spisywał się niezawodnie. Cztery koguty zawisły na moich trokach tego wieczora. A ku ogromnej mojej radości dwa strzeliłem spod Czopera złotego spaniela. Czoper był wówczas jedenastostomiesięcznym pieskiem - ofiarą głupich kynologicznych rodziców, a synek z mocy prawa był zwykłym kundlem. Praktycznie było to jego pierwsze polowanie.

Zadowoleni wróciliśmy do domu i tam przy starym jeszcze przedwojennym kominku Władek zaczął wspominać pierwszą Wigilię spędzoną na leśniczówce we dwoje. Chcieli być tylko ze sobą. Jej rodzice byli niezadowoleni, że zwinął im jedyną córkę. Z wielkiego miasta pojechała do zagubionej w lesie leśniczówki. Leśnik to nie był zawód, o którym marzyli dla jedynaczki. Ale pani magister poszła tam, gdzie serce kazało. Tworzyli nie tylko piękną, ale i dobraną parę. Ich gospodarstwo szybko zapełniło się drobnym inwentarzem, a w spiżarni zawsze wisiły smaczne kiełbasy i tradycyjnie wędzone szynki. Urszula towarzyszyła mężowi na polowaniach i w krótkim czasie sama zaczęła polować. Układała psy, a Bis był jej ulubieńcem. Niejednemu raz pytałem czy im na tym pustkowiu się nie nudzi. Wład miał zawsze na to gotową odpowiedź. Z Ulką to i milczy się interesująco.

Ogień w kominku powoli przygasał i trzeba było iść spać. Czeką nas wigilijne polowanie. Poranek wstał śliczny. Piękne słońce, iskrzący świeży śnieg, a myszaty konik polski czekał na podwórzku zaprzęgnięty do chłopskich sań wymoszczonych słomą. Psy z radością tarzały się w białym puchu zalotnie się

oszczekując. Ruszyliśmy. Energiczniej podzwaniały janczary. Bis i Czoper jak przystało na płochaczy wesoło głosili swą radość. Przy czwartym paśniku Władek zarządził: - Wigilijne polowanie to nie tylko dokarmianie, trzeba choć raz pociągnąć za spust.

Poszliśmy więc nad pobliskie trzcinowiska. Puściliśmy psy i za chwilę poderwał się piękny kogut. Strzeliłem. Po chwili Bis zaaportował go Władkowi. Teraz jego kolej pomyślałem. Może jego bażanta podniesie Czoper i mi przyniesie. Św. Hubert myślał tak samo i kogut Władka znalazł się w kufie Czopera, który obiegając trzcinę przyniósł go do mnie.

Czas było wracać. Za kilka godzin Wigilia, a przede mną prawie dwieście kilometrów.

Im bliżej leśniczówki tym Władek bardziej stawał się smutny i małowówny. Poprosiłem: - Wład zamknij chatę. Jedź ze mną. Mama się ucieszy. Lubi cię bardzo. Jutro wrócisz. W Wigilię człowiek nie powinien być sam.

- Nie będę sam - odpowiedział. Będziemy razem. Na stole trzy zastawy. Jedna dla Ulki, druga dla przybysza a trzecia dla mnie. Bis też dodatkową miskę dostanie. Wiesz ja wierzę, że ona jest ze mną, choć teraz przebywa w innej rzeczywistości. Nas łączy nas więź duchowa. I nie chcę tego zmieniać.

Uścisnęliśmy się. Wsiadłem do auta a gospodarz sięgnął po trąbkę i zagrał pożegnanie. Nacisnąłem gaz. Wilgotno zrobiło się pod powiekami, a w radio śpiewano mą ulubioną koledę. „Hej malusi malusi kiejby rękawicka”. Czoper wyczuwając niezwykłość chwili wskoczył na fotel i - choć nigdy tego nie robił - zawył tęsknie.

*

Z sennych wspomnień wyrwał mnie głos stewardesy informującej, że znajdujemy się nad Warszawą, że trzeba zapiąć pasy, bo lądujemy. Na Okęciu czekała na mnie Hanka z gordonką Birką radośnie machającą ogonem. Bo psy ogonem się uśmiechają.

BOGDAN LUDOWICZ